CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 92 10 SIERPNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

O przygodzie na wodnym szlaku przeczytacie na str. 3

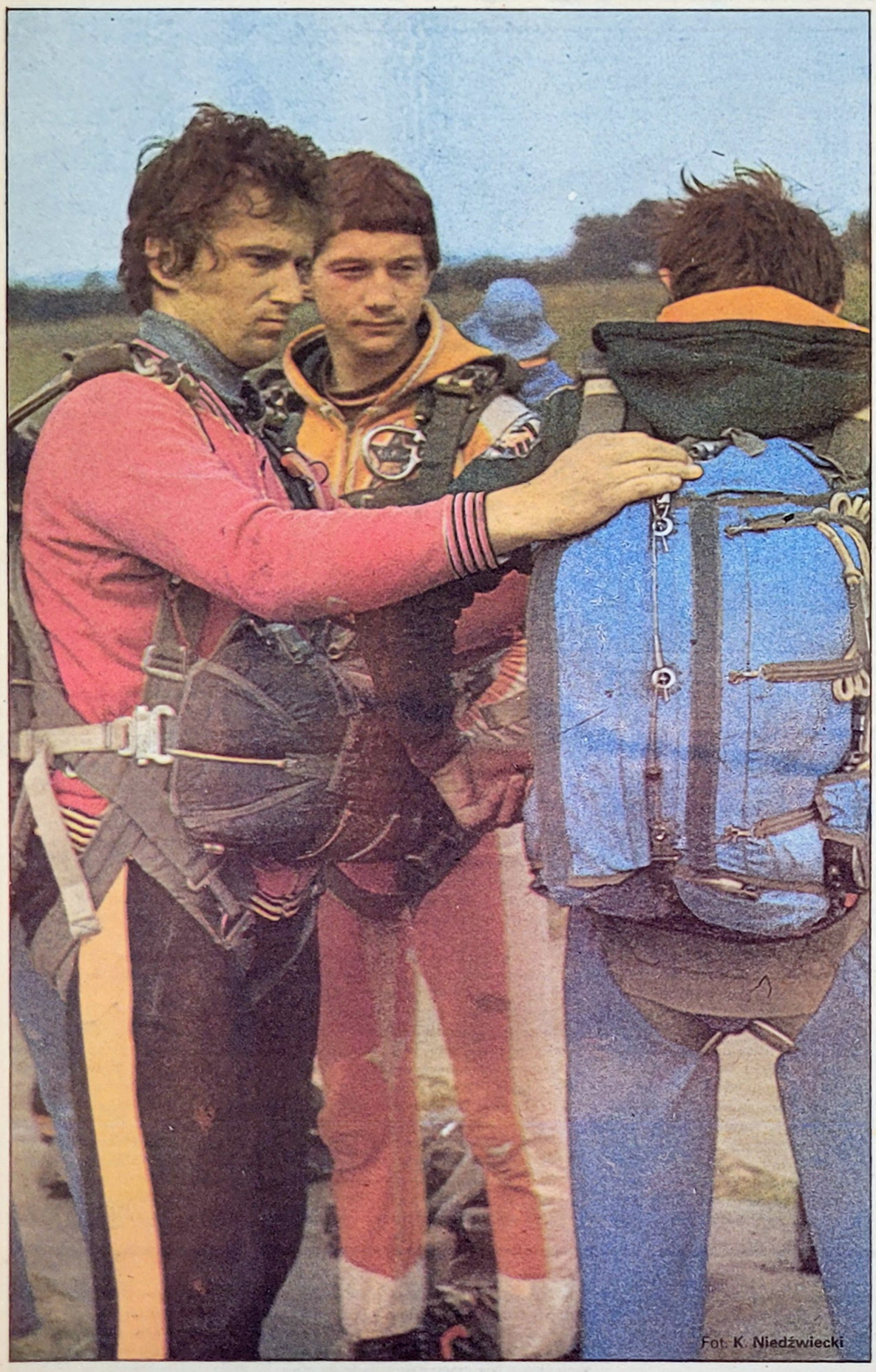

Fot. K. Niedźwiecki

LECĄC KU ZIEMI

Do skoku pozostało jeszcze tylko kilka minut. Te ostatnie często są najważniejsze, one właśnie decydują o pomyślności skoku. Czujne oko druha Waldka nie pominie niczego. Wysokościomierz – działa, linki – dobre, zapięcie spadochronu – w porządku. Niektórzy narzekają, że za mocno, że uciska w ramionach. Ale jednocześnie wszyscy wiedzą, że przy takim ryzyku dokładność jest gwarancją udanego skoku. Zawsze trzeba pamiętać o wszystkim.

CIĄG DALSZY — STR. 3

NAL

TYDZIEŃ „POD NIEZAPOMINAJKĄ"

JAKSICE (HSI). Wakacyjny zastęp „Kaczorów" prowadzi Urszula Głuszek. Jej podopieczni „specjalizują się" w działalności na rzecz ochrony środowiska. Zorganizowali m. in. „bezkrwawe łowy", w czasie których za „broń" służyły im notatniki i aparaty fotograficzne. Dokonali w tym czasie interesujących obserwacji ptactwa, owadów i zwierząt oraz wykonali rejestr zagrożeń przyrody w okolicach Jaksic. „Kaczory" nawiązały ponadto kontakt z Ochotniczą Strażą Pożarną i sprawdzały zabezpieczenie przeciwpożarowe pobliskich domów. Odbył się konkurs o pożarnictwie, którego zwycięzcy udekorowani zostali wiązankami ogrodowych kwiatów. Natomiast symboliczny bukiecik niezapominajek otrzymała od „Kaczorów" w tygodniu „pod niezapominajką" pani Henryka Sokalska.

(tor)

POD WIATR I FALE

PUCK (HSI). W Harcerskim Ośrodku Morskim w Pucku zakończyły się VII Harcerskie Mistrzostwa Żeglarskie. Były one rozgrywane w klasach: Optymist, Cadet, 420, Windsurfing. Organizacją regat, które rozgrywane były na wodach Zatoki Puckiej zajęli się harcerze Gdańskiej Chorągwi ZHP. Jednak nie „po znajomości" właśnie oni, żeglarze Chorągwi Gdańskiej, znaleźli się we wszystkich klasyfikacjach na czołowych miejscach.

W klasie Cadet na pierwszej pozycji uplasowała się załoga w składzie: J. Damaszko i Z. Wysiecki, w klasie Optymist – najlepszym okazał się A. Kruszczyński, w klasie 420 – załoga w składzie: C. Sikora i K. Wardych, zaś w Windsurfingu – M. Sołtys.

Ogólny poziom mistrzostw uznano za bardzo wysoki.

Mirosław Nowak

Brawa dla „Cracovii"

KRAKÓW (HSI). Znany klub sportowy „Cracovia" objął niedawno patronacką opieką uczniów ze Szkoły Podstawowej nr 128 w Krakowie. Umowa podpisana przez kierownictwo klubu i dyrekcję szkoły obejmuje pomoc finansową i sprzętową. Młodzi sportowcy będą mogli korzystać z obiektów klubu, „Cracovia" udostępni im swoich szkoleniowców i instruktorów do organizowania obozów sportowo-szkoleniowych oraz do prowadzenia treningów.

Nie jest to pierwsze tego typu działanie zasłużonego dla polskiego sportu klubu. Godzi się przy okazji wspomnieć, że patronatem „Cracovii" objęta jest również Szkoła Podstawowa nr 10 o specjalności hokejowej. **(jar)**

„Olimpijskie" monety

ZSRR (PAP). Od niedawna znajdują się tu w obiegu monety, wybite specjalnie z okazji zbliżającej się moskiewskiej olimpiady 1980. Są to monety wartości 1, 5, 10, 100 i 150 rubli. Moneta jednorublowa jest zrobiona ze stopu miedzi i niklu, pięciorublówka i dziesięciorublówka – to monety srebrne, a 150 rubli – platynowe.

Na awersie każdej z nich znajduje się relief z godłem państwowym i napisem ZSRR oraz napis i liczba oznaczająca wartość monety. Na rewersie jest emblemat moskiewskiej olimpiady, na obwodzie napis „Igrzyska 22 Olimpiady Moskwa 1980", a także rok wybicia monety oraz rysunek, inny na monetach różnej wartości, tematycznie związany z igrzyskami olimpijskimi.

(kl)

Tydzień Kultury Beskidzkiej

WISŁA (HSI). W dniach od 5 do 13 sierpnia w Wiśle, Szczyrku, Żywcu i Makowie Podhalańskim odbywały się imprezy XV Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Brało w nich udział ponad 50 zespołów regionalnych z różnych stron kraju i z zagranicy. Przez siedem dni swoje prace wystawiali twórcy ludowi, odbyło się też wiele spotkań z gawędziarzami. Zorganizowano również stoiska gastronomiczne, w których serwowano potrawy regionalne. **(jar)**

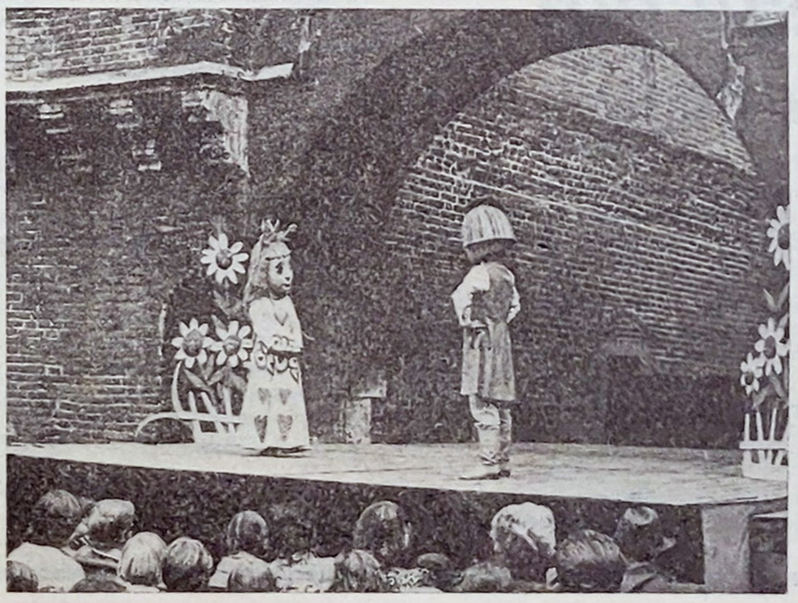

HEJ NA SMOKA!

Nie lada atrakcję przygotował dla dzieci i turystów na sezon letni krakowski Państwowy Teatr Lalek i Aktora „Groteska". W pięknej scenerii Barbakanu prezentowane jest widowisko „Hej na smoka".

Jakże interesująco brzmią w dostojnych zabytkowych murach bajki o strasznym smoku, dzielnym szewczyku i pięknej królewnie...

Fot. **CAF-Rybak**

Dziś przedstawiamy:

Boliwia

Od czasu wyzwolenia Boliwii spod hiszpańskiego panowania, tj. od 1825 r., było w tym kraju 186 zamachów stanu, w wyniku których zmieniały się rządy, najczęściej wojskowe, natomiast system społeczno-ekonomiczny pozostał nienaruszony. Kolejny przewrót wojskowy wyniósł do władzy nowego prezydenta tego kraju gen. Juana Pereda Asbuna, ale interwencję armii poprzedziły jeszcze inne wydarzenia.

Dotychczasowy rząd gen. Banzera zarządził na 9 lipca wybory powszechne, zakładając po nich ustanowienie z dniem 6 sierpnia rządu konstytucyjnego. Jeszcze przed wyborami wielu opozycyjnych polityków wyrażało wątpliwości co do samego przygotowania, przebiegu i poszanowania wyników wyborów. Ale mimo wszystko głosowanie odbyło się. Obliczenia wyników wskazywały, że wygrał zdecydowanie gen. Pereda, pokonując 7 innych kandydatów, wśród których drugie miejsce zajął Siles Zaqzo, przywódca centrolewicowej koalicji obejmującej m. in. komunistów. Kiedy wydawało się, że Pereda ma już zapewnione zwycięstwo, Trybunał Elekcyjny anulował wybory, a zwycięski kandydat został zmuszony do przyznania, że zostały one sfałszowane. Widząc, że władza wymyka mu się z rąk, gen. Pereda przy poparciu wojska dokonuje bezkrwawego przewrotu, zostaje prezydentem kraju, argumentując przy tym, że jednak w „uczciwych wyborach" uzyskał poparcie większości. Napływające informacje, często sprzeczne, nie pozwalają na dokładną ocenę wydarzeń, ale wskazują, że część korpusu oficerskiego pragnie za wszelką cenę utrzymania prawicowego kursu i wojskowych rządów. Czy im się to uda, trudno w tej chwili przewidzieć.

Boliwia, mimo licznych bogactw naturalnych, m. in. cyny, wolframu, cynku, miedzi, srebra, złota jest jednym z bardziej zacofanych krajów Ameryki Łacińskiej. Podstawę jej gospodarki stanowi górnictwo, którego znaczna część należy do koncernów USA. Wprawdzie w 1952 r., po rewolucji dokonanej pod przewodnictwem Ruchu Narodowo-Rewolucyjnego, upaństwowiono wielkie kopalnie cyny i rozdzielono wśród indiańskich chłopów ogromne latyfundia, ale już po czterech latach wszystko wróciło na dawne tory. jest to kraj niespokojny, z dużymi tradycjami rewolucyjnymi (wystarczy wspomnieć tylko powstania indiańskich chłopów, czy walkę Armii Wyzwolenia Narodowego, dowodzoną przez legendarnego już Ernesto Guevarę). Boliwijscy chłopi i górnicy nie rezygnują z walki, o czym świadczą wybuchające coraz to nowe strajki; chcą, aby bogactwo ich kraju służyło ich narodowi, a nie północnoamerykańskim biznesmenom.

Obszar 1098,5 tys. km kwadr. ludności 4.700 tys. (Indianie 54 proc., Metysi 31 proc., biali 15 proc.), stolica faktyczna La Paz (siedziba rządu), stolica konstytucyjna Sucre. Język urzędowy hiszpański. Jednostka monetarna – peso boliwijskie. Dochód narodowy na 1 mieszkańca 305 dolarów.

(mj)

60 LAT NIEPODLEGŁEJ POLSKI (7)

NIE WIŃMY PRADZIADÓW

„Dla obserwatora z zewnątrz – czy będzie nim życzliwy, obojętny, lub nieżyczliwy cudzoziemiec, czy też rodak zamieszkały poza krajem – głównie rzucają się w oczy różnice pomiędzy przedwojenną a powojenną Polską. Inne w znacznej części terytorium, inny skład narodowościowy, inna struktura społeczna, inny system władzy, inna ideologia dominująca, inna pozycja międzynarodowa, odmienne także trendy demograficzne, urbanizacyjne, industrializacyjne".

Zaczerpnąłem ten cytat z odpowiedzi wybitnego polskiego historyka, prof. Stefana Kieniewicza na ankietę pt. „Nie ma przerw w historii", ogłoszoną przez tygodnik „Polityka". Stanowi ta myśl przewrotny – w swym rodzaju – wstęp do rozważań odpowiadających na jedno z pytań ankiety: **„Czy i w jakim sensie, możemy mówić o ciągłości historycznej całego 60-lecia?"**. Bo profesor uzasadnia dalej niezaprzeczalną ciągłość naszej historii. Takiego zdania się zresztą wszyscy zaproszeni do udziału w tej ankiecie historycy.

O ciągłości naszych dziejów – w tym wypadku: najnowszych – myślałem, tytułując cykl artykułów „60 lat niepodległej Polski". W rozważaniach dotyczących poszczególnych problemów – kształtowania się narodu i klasy robotniczej, rozwoju państwowości polskiej, gospodarki i kultury starałem się właśnie tę ciągłość ukazać. Do tej sprawy, niezwykle istotnej dla zrozumienia najnowszych dziejów Polski, chciałbym dziś w ogólniejszym ujęciu wrócić.

Cztery okresy historyczne w ostatnich dwóch wiekach naszych dziejów zamykają się ścisłymi datami. Pierwszy najdłuższy, lata 1795–1918 – to czasy utraty niepodległości i walki o jej odzyskanie. Kolejny, 1918–1939 lata drugiej Rzeczypospolitej. Kończy ten okres agresja hitlerowskich Niemiec. Następują lata 1939–1944 – wojna i okupacja. I okres ostatni, otwarty datą: 22 Lipca 1944 r. – lata Polski Ludowej.

Co łączy te okresy między sobą? W czym przejawia się ciągłość? Czy istnieje mimo różnic, o których była mowa na wstępie, czy niezależnie od nich, tzn. w innych sferach życia społeczeństwa?

Myślę, że traktując rozwój tylko jako kontynuację nie można odtworzyć wszystkich elementów ciągłości dziejów. Dopiero dialektyczne spojrzenie na sprawę – dostrzegające w rozwoju i ciągłość przez kontynuację, i ciągłość przez zaprzeczenie – ukazuje wszystkie zachodzące związki kolejnymi okresami historycznymi, porządkuje je w jeden nieprzerwany ciąg dziejów. Prześledźmy, jak w każdym z tych czterech okresów dojrzewały warunki, aby mogło się wydarzyć to, co nastąpiło.

Odrestaurowany Ratusz we Wrocławiu, w mieście, które powróciło do Macierzy.

Fot. archiwum

Kiedy w 1795 r. Polska utraciła niepodległość, naród polski – we współczesnym tego słowa znaczeniu – jeszcze nie istniał. Mówiło się wówczas o narodzie szlacheckim i to pojęcie w przybliżeniu charakteryzowało ówczesny stan rzeczy, choć pewne fakty zapowiadały już nadchodzące zmiany. Żądania mieszczaństwa w trakcie prac nad Konstytucją 3 Maja, udział plebsu miejskiego w Warszawie i chłopskich kosynierów spod Krakowa w Insurekcji Kościuszkowskiej świadczyły o narastaniu świadomości narodowej, również wśród innych warstw społecznych.

Jak zmieniła się w ciągu niecałych 100 lat ta sytuacja, świadczą wydarzenia i pewne zjawiska z drugiej połowy XIX, a zwłaszcza z przełomu XIX i XX wieku. W tym czasie już Trylogia Sienkiewicza jest równie głęboko przeżywana w pańskich dworach i mieszczańskich domach, jak w robotniczych czynszowych kamienicach i chłopskich chatach. W walce z germanizacyjną polityką Bismarcka w zaborze pruskim i rusyfikacją na Podlasiu aktywnie uczestniczą chłopi. Przywódcą w walce o społeczne i narodowe wyzwolenie w Rewolucji 1905 roku staje się polski proletariat.

W walce zbrojnej z zaborcami, w działalności różnych polskich towarzystw społecznych, kulturalnych i gospodarczych, w różnych formach aktywności gospodarczej, stanowiącej obronę przed uprawianą przez zaborców polityką wynaradawiania, w coraz szerszym przyswajaniu sobie tego, co niosła w swych patriotycznych treściach rozwijająca się mimo ograniczeń i prześladowań kultura polska, ukształtował się bowiem nowoczesny naród polski. Nowoczesny, tzn. obejmujący tym pojęciem jednoczący w nim wszystkie klasy i warstwy społeczne. Ten powszechny wzrost świadomości narodowej przede wszystkim postawił sprawę niepodległości polski na porządku dziennym.

W tym okresie, na przełomie XIX i XX wieku, dojrzały też w Rosji społeczne warunki do rewolucji proletariackiej, która do tego stopnia wstrząsnęła światem, że w środkowej Europie dziewiętnastowieczni żandarmi niewzruszonego porządku nie byli już w stanie postawić zapory narodowym aspiracjom Polaków. Ale i stosunek rosyjskich rewolucjonistów do kwestii polskiej, proklamowania prawa narodu polskiego do samostanowienia, wynikał z uświadomienia sobie swych aspiracji.

Odzyskanie niepodległości przyspieszyło wzrost świadomości narodowej, a także integrację narodu. Myślę przede wszystkim o narastającym poczuciu jedności Polaków, zamieszkujących różne regiony kraju. Przyczyniała się do tego polska szkoła, służba w polskim wojsku, obowiązujący język urzędowy, a także takie procesy społeczno-gospodarcze jak ukształtowanie się w ramach państwa polskiego ogólnokrajowego rynku, skierowanie sieci komunikacyjnej „twarzą" ku stolicy, rozbudzająca aspiracje narodowe budowa Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, ujednolicenie waluty i przepisów prawnych.

Jednocześnie i w klasie robotniczej, i wśród chłopstwa narastało poczucie odrębności klasowej. Klasom posiadającym wypadł z rąk argument pozwalający winę za ucisk i nędzę przerzucać na obcych. Teraz polski fabrykant i polski obszarnik, jeśli siłą tłumił strajki, czy rozpędzał manifestacje robotnicze i chłopskie, musiał czynić to na swój własny rachunek.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Kto się boi harcerzy?

Dziwne pytanie, prawda? No bo niby dlaczego ktoś miałby się bać harcerzy, czym mogliby komuś zagrozić?! A jednak. Okazuje się, że są tacy, którym młodzi ludzie w harcerskich mundurach zagrażają, którzy patrzą na nich niechętnym okiem. Szczególnie wtedy, gdy... mają pracować.

Na jednej z większych harcerskich akcji od kilku już lat brygady złożone z członków drużyn HSPS pracowały w bazie SKR – pomagały w remontach ciągników, urządzeń rolniczych i najbardziej pilnych naprawach tych maszyn, których sprawność w czas żniw liczy się na wagę złota. Wszyscy, wydawałoby się, powinni być zadowoleni: rolnicy i mechanicy – bo mając pomocników sprawniej im szła robota, harcerze – bo mogli się czymś wykazać, sprawdzić nabyte w czasie szkolnej nauki umiejętności, spróbować pierwszej dorosłej, odpowiedzialnej pracy.

Harcerze zresztą byli zadowoleni – czuli się tam naprawdę potrzebni. W tym roku również szykowali się do pracy w SKR, ale... Spore było zdziwienie wśród organizatorów akcji, gdy SKR nie wyraził chęci dalszego kooperowania z harcerzami. Szukano winnych wśród harcerzy. Może ktoś narozrabiał, a pracodawcy sprawę przemilczają, bo nie chcą robić szumu? Może wykonane prace były na lichym poziomie i z czystej kurtuazji nikt nie chce tego głośno powiedzieć? I długo by tak mogli rozważać wszystkie możliwości, gdyby nie przypadek.

Ktoś, zaufany człowiek harcerzy, podsłuchał (brzydki to zwyczaj, ale nieraz oddaje nieocenione usługi) rozmowę dwóch pracowników owego niechętnego harcerzom SKR. Oto miejscowi pracownicy nie chcieli pracować z harcerzami i wywarli skuteczną presję na dyrekcję, by już więcej „szczeniaków" na teren zakładu nie wpuszczała. Spadły im bowiem drastycznie dochody. Nie, pensje mieli takie same. Nie mogli jednak wykonywać fuch, lewych robót, napraw po znajomości na państwowym sprzęcie, ale za pieniądze do własnej kieszeni. „Przecież – mówili między sobą – nie bardzo można kazać „takim", żeby pomajstrowali przy znajomym traktorze, gdy czekają w kolejce, te, które naprawić trzeba. Nie można zresztą wprowadzić obcej maszyny, bo nie wiadomo czy taki młokos zna życie i przymknie oko, czy też narobi rabanu i poleci na skargę do dyrektora." W ten oto sposób harcerze – okazało się – przyczyniali się do sprawnego remontowania maszyn rolniczych. Niestety, nie dane im było kontynuować tej pożytecznej akcji – zbuntowali się mechanicy, uległa mechanikom dyrekcja.

I inna, aczkolwiek podobna, sytuacja. Harcerze w czasie wakacji pracują przy budowie szkoły. Sprawnie zabierają się do roboty i mury rosną – jak na ich możliwości – dość szybko. Mieszkańcy wsi się cieszą, przychodzą popatrzeć o ile centymetrów podrosły ściany. Jeden człowiek jest tylko niezadowolony – majster.

– Panie, oni (tu padło niecenzuralne słowo) jak małe parowoziki zasuwają. To się w głowie nie mieści. Po co oni tak... (tu padło znowu, tym razem kilka, niecenzuralnych słów). Nie mogę nawet wyjść na piwo, bo patrzą takim bykiem, że człowieka strach oblatuje i wolę po cichu kląć, ale być cały czas na budowie, nawet jak robić mi się nie chce.

Jakże często niektórzy narzekają, że młodzież nie bardzo chce pracować, że czeka na gotowe! Że młodzi tylko chcieliby brać. Warto zauważyć, że w opisanych wyżej wypadkach harcerze pracowali w grupie, która to grupa potrafiła wpłynąć na zachowanie innych, narzucić swój styl. Mam niejakie wątpliwości, czy gdyby każdy z tych samych harcerzy pracował, w tych samych miejscach, pojedynczo, to czy nie ugiąłby się pod presją starych wyg i też nie wziąłby fuchy, nie wyskoczył na piwo. W stosunku do wielu jest to na pewno twierdzenie krzywdzące, ale faktem jest, że grupa ma większą siłę przebicia niż pojedynczy człowiek. Pojedynczego harcerza nikt by się nie bał, a grupy harcerzy... No właśnie, jak widać – zdarza się.

Oczywiście, nikt z nas, harcerzy, nie ma ambicji straszenia kogokolwiek, ale dobrze jest, że harcerskie zespoły coraz częściej – szczególnie w czasie wakacji – zbierają się razem i razem pracują. Tam, gdzie są doskonałe brygady – mogą się wiele nauczyć. Tam, gdzie sytuacja przypomina opisane wyżej wypadki – mogą nauczyć innych. Tych, którzy boją się harcerzy. I niech się boją!

KAZIMIERZ PASEK

W KADZIDLAŃSKIM BORU...

(Inf.wł.) Kurpie słyną na cały świat z artystycznych wyrobów rękodzielniczych. Misterne wycinanki stanowią przedmiot eksportu, a obrusy, chodniki, bieżniki, kapy tkane w kolorowe pasy rozprowadzają sklepy „Cepelii". W Spółdzielni Pracy „Kurpianka", działającej w Kadzidle, zatrudnionych jest ponad trzysta ludowych artystek-chałupniczek.

Jeden z wyrobów „Kurpianki" to laleczki ubrane w ludowe stroje. Kawaler na zdjęciu stoi w towarzystwie panienek. Świadczą o tym stroiki na głowie, tzw. „czółenka". Ta z lewej na spódnicę założony ma odświętny koronkowy fartuszek, a lalka z prawej – tkany z wełny tzw. fartuch górowy.

Fot. **W. Mroczek**

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

LECĄC KU ZIEMI

Mokre koło Zamościa. Nad rozległym polem wyblakłej od słońca trawy niesie się warkot lądującego samolotu, popularnego wśród spadochroniarzy „Antka". Na niewielkim polowym lotnisku zamojscy harcerze spędzają swoje wakacje. Tu spełniają się ich marzenia o pierwszym w życiu skoku.

A przecież jeszcze kilka miesięcy temu pełni niepokoju przekraczali próg gabinetu lekarskiego. Skok to była wówczas odległa sprawa. Nie dla wszystkich wizyta u lekarza sportowego była szczęśliwa. Wydawałoby się najzdrowsi, a odpadali. Dla tych, którzy zwycięsko przebrnęli próg gabinetu teraz zaczęła się ciężka praca. Wykłady, zajęcia naziemne i wreszcie egzamin. Dopiero wtedy przypięli spadochron.

Kabina samolotu. Siadają w ustalonej kolejności. Przypinają się do linki otwierającej później spadochron. Na wysokości 1000 metrów wszyscy są jeszcze uśmiechnięci, wymieniają ostatnie uwagi o dzisiejszym skoku, słuchają wskazówek instruktora. Im wyżej jednak, twarze stają się coraz bardziej skupione, trochę nawet zdenerwowane. W szumie motoru ledwie słychać nuconą melodię.

– Ona dodaje nam odwagi, zapominamy chociaż na chwilę o skoku – mówi Teresa. – To już dziesiąty raz, a mimo to boję się. Prawdziwy strach przychodzi dopiero przy drugim, trzecim skoku. Pierwszy jest trochę nieświadomy, jakby w lekkim szoku. Przy drugim wszystkie ewentualności wyolbrzymiają się, rosną. To jest najtrudniejsze i najgorsze. A jednak ten pierwszy jest najcudowniejszy. Kiedy skakałam właśnie pierwszy raz, zupełnie nie wiedziałam co się dzieje, tak jakbym wisiała w próżni. Zamknęłam oczy i... Na ziemi długo musiałam słuchać uwag instruktora, że tak nie wolno, że następnym razem nie będę skakała. Miał rację, ale to tak strasznie wysoko, a ja leciałam i leciałam... Wtedy zapomina się o wszystkim.

Samolot nabiera wysokości. 2000 metrów. Instruktor otwiera drzwi. Do kabiny wpada świszcząca masa zimnego powietrza. Wyrzucający – druh Waldek – ma już na swoim koncie ponad 600 skoków, teraz naprowadza samolot na białe koło leżące w dole na murawie lotniska. Tam powinni wylądować spadochroniarze. Silnik zmniejsza obroty. Jeden ze skoczków wstaje z ławki. Powoli zbliża się do otwartych drzwi.

Wysoko. Paweł robi krok naprzód. Porywa go pęd powietrza. Czy mu się uda? Skok nie jest łatwy, musi wykonać ćwiczenie akrobatyczne. Jest spirala prawa, lewa, są salta. Ale co dalej? Zamieramy w oczekiwaniu. 121, 122, 123... czas ciągnie się w nieskończoność. Co ze spadochronem?! Nareszcie! Strzela biała czasza. Najpierw jest to niewielki spadochronik, który z pokrowca wyciąga białą kichę wypełniającą się powietrzem. Potem rozkwita spadochron.

Unosimy się ciągle w górę. 2200 metrów. Otacza nas już tylko mgła. Z takiej wysokości wszystko wygląda inaczej. Sylwetka skoczka oddzielająca się od samolotu szybko maleje, po chwili jest już tylko maleńką kropeczką na tle złocistej plamy pól. Trzask białej czaszy łagodzi napięte do granic wytrzymałości ludzkie nerwy. Skaczą ostatni. Samolot ciągle krąży. Czeka aż ostatni skoczek zejdzie na ziemię. To ze względu na bezpieczeństwo. Wreszcie uderzenie kół o płytę lotniska. Wychodzimy z kabiny. Oni już na nas czekają.

Paweł jest zadowolony ze swojego skoku. Był dobry – tak ocenił komendant druh Kazimierz Drzewiński, stary wyga sztuki spadochronowej. Tylko, że... Paweł jest trochę przestraszony.

– Wprawdzie skok mam już za sobą, ale najgorsze jeszcze nie minęło. Obchodzę dzisiaj mały jubileusz, wykonałem dwusetny skok, no i koledzy mają powód do złożenia kilku serdecznych klapsów. Oby nie za mocnych.

Na rozłożonych na ziemi brezentowych matach układają swoje spadochrony. Równo napinają każdą linkę. Składają czaszę. Pierwszy szew łączą z drugim, drugi z trzecim, potem czwarty, piąty, aż do ostatniego. Robią to niezwykle dokładnie, bo umiejętne złożenie jest czynnikiem decydującym o bezpieczeństwie.

– Nie boję się skoku – mówi Zbyszek – do sprzętu mam całkowite zaufanie, chociaż dzisiaj miałem małego stracha. Zamiast pięknej rozłożystej czaszy zrobił mi się równie piękny „kalafior". Ale na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

– „Kalafiory" to jeszcze nic – wtrąca się Teresa – gorzej jest z lądowaniem. Bywa, że wiatr nagle zmieni kierunek i lądujemy w ogródku, w bruździe między kapustą a porzeczkami. Dobrze, że gospodyni przyzwyczaiła się do takich gości z nieba. Nie denerwuje się, a nawet częstuje owocami.

– To dla pocieszenia, za niezbyt udane lądowanie – dodaje z uśmiechem – i tak będziecie mieli za swoje!

Codziennie wykonują po dwa skoki: akrobatyczne i na celność lądowania. Przed każdym skokiem na zawieszonej na drzewie uprzęży ćwiczą prawidłową sylwetkę. My też próbowaliśmy. Niebo, ziemia, horyzont i gwiazdy w oczach. Jak oni to wytrzymują?

DANUTA ZIĘLIŃSKA

Fot. **Krzysztof Niedźwiecki**

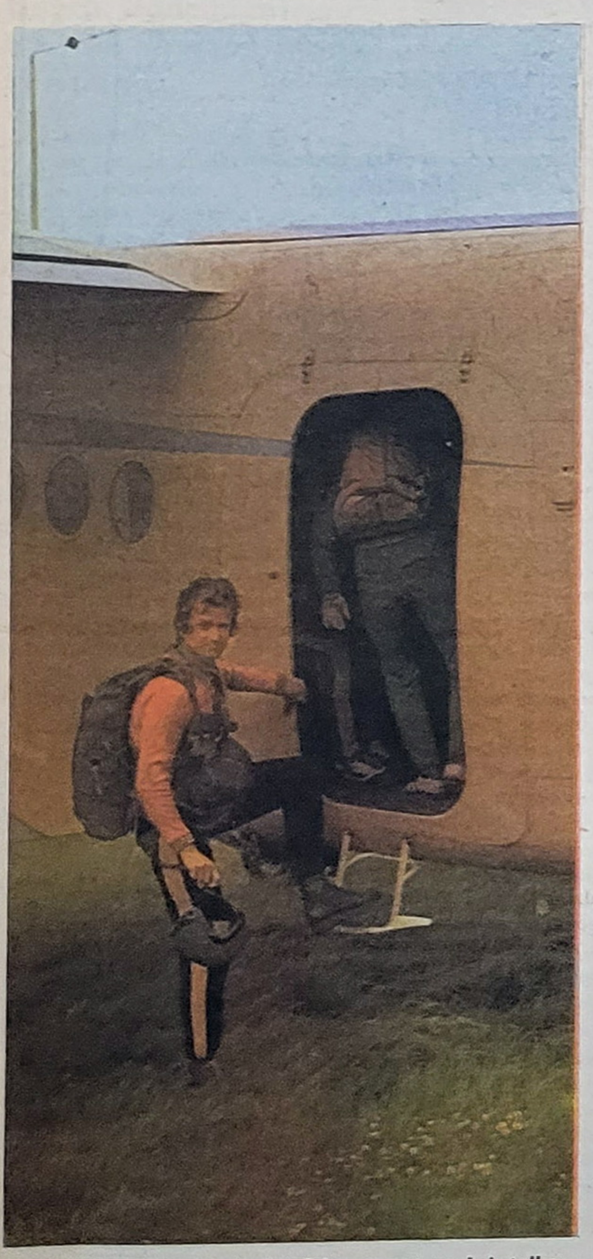

Ostatni krok na płycie lotniska, a potem już tylko nieograniczone przestworza

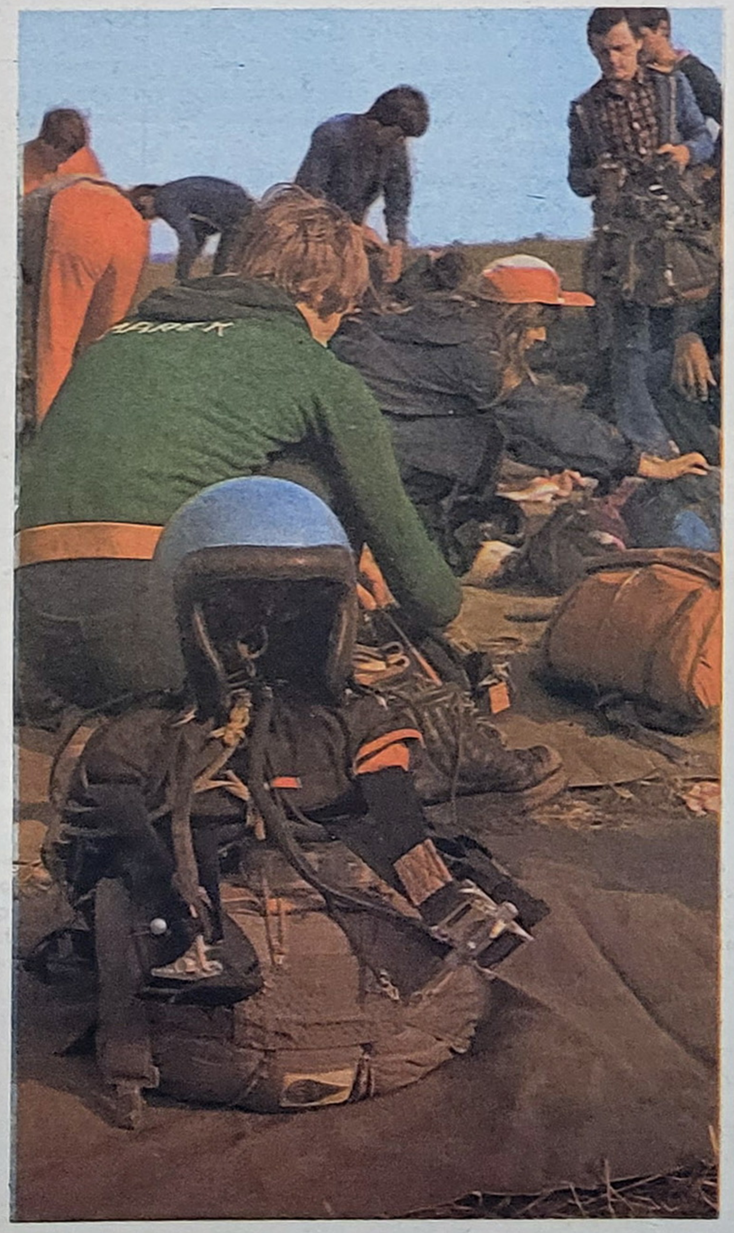

Kaski, dresy i te ogromne buty. Trzeba to włożyć na siebie. Ileż to waży...

Musiałaby powstać spora powieść, by móc opisać wszystkie imprezy organizowane przez „Mały Przegląd", wszystkie kajakowe spływy, górskie wyprawy i letnie obozy, stocznię i przystań, w której byliśmy jak u siebie. Wspomniałem o wszystkim tym po trochu w wielu poprzednich odcinkach tej opowieści. Teraz już tylko o pierwszym, wielkim naszym spływie.

ARCHIPELAG

LUDZI ZAGUBIONYCH (5)

NA WODNYM SZLAKU

I nie od początku. Bo nudno: pociąg, załadunek i wyładunek sprzętu, szukanie furmanek w Nowym Targu, by przewieźć kajaki, pierwszy nocleg w małym wtedy i dość obskurnym miasteczku. Więc zacznę inaczej. Od pierwszej wywrotki. Gdzieś tak naprzeciw Sromowców Wyżnych. Kajak Kuby Hersztajna, reportera sportowego, nadział się przy przejeździe przez burzliwy szypot* na ostry głaz. Błyskawicznie nabierał wody, przechylał się. I Kuba znalazł się w spienionym Dunajcu. A pływać nie umiał. Na sporcie się znał wprawdzie znakomicie i żywioł wodny ubóstwiał, lęku żadnego przed wodą słoną czy słodką nie odczuwał. Ale pływać nie umiał. „Za chudy jestem – twierdził – woda zaś lubi, jak każdy uczciwy płyn, coś tłustego."

Kuba więc znalazł się sam na sam z Dunajcem w sytuacji dość kłopotliwej. Szypot kończył się głębią, na którą dzielnego reportera sportowego znosiło, a jego koło ratunkowe z paru rowerowych dętek dziwnie było sflaczałe. Do tego Kuba, zawsze rycerski, musiał zadbać o swoją partnerkę, która także znalazła się w wodzie. A że do tego był zapobiegliwy, więc i o kajak się martwił. Kajak zaś tylko czubkiem dzioba wystawał nad rzekę, coraz bardziej rozszarpywany o głazy szypotu. Kuba nie miał tego dnia wachty, płynął więc sobie spokojnie na końcu kolumny kajaków, toteż nie bardzo mógł liczyć na naszą pomoc.

Niesieni bystrym nurtem górskiej rzeki, byliśmy już dość oddaleni, a ostre zakręty rzeki uniemożliwiały nam kontakt wzrokowy z Kubą.

– Gdzie Kuba! – dopiero ten krzyk komandora spływu, Lońki Komorowskiego, uprzytomnił nam, że stało się coś niedobrego.

– Wszystkie kajaki do brzegu! – komenderował Lońka. Ba, powiedzieć to było łatwo, wykonać trudniej. Byliśmy na środku rwącego nurtu, między dwoma wielkimi szypotami, w które wpływać trzeba zawsze językiem spokojniejszej wody i nie dopuścić do bocznego ustawienia łodzi względem prądu. A tu trzeba właśnie, wściekle tłukąc wiosłami, zawrócić w samym piekle piany i kamieni, bokiem do nurtu, spychani na wielkie głazy, dobić do brzegu.

Manewr wykonaliśmy, ale przy okazji mój kajak trzepnął twardo o jakiś głaz, dykta trzasnęła groźnie, woda natychmiast wpełzła do łodzi. – Skacz! – zawołałem do koleżanki. – Szybko do brzegu!

Na szczęście umiała pływać. Ja też. Wyskoczyłem za nią, pchnąłem z całej siły kajak w stronę brzegu i czepiając się chwilami na pół tonącej łodzi – jakoś dobiłem.

– Biegiem! – padła komenda Lońki. – Wachta służbowa pierwsza!

Była to moja wachta. Więc pognaliśmy. Dobre pół kilometra. W myślach kotłowała się wizja szczuplutkiego Kuby tłukącego martwym ciałem o skały podwodne. Wizja nie odpowiadała na szczęście rzeczywistości.

„Rzeczywistość" w całkiem żywej i zdrowej osobie Kuby siedziała spokojnie na wysoko nad wodą wystającym głazie, jedną ręką trzymała coś, co wyglądało na szczątki kajaka, drugą zaś obejmowała na wpół z Dunajca wychyloną partnerkę.

– Nareszcie – oświadczyła „rzeczywistość". – Okropnie ręce mnie bolą. Bowiem wbrew pozorom Renia jest ciężka, a prawo Archimedesa kłamie.

Wskoczyliśmy do wody i płynąc z trudem w poprzek rzeki dotarliśmy do Kuby. Renię schwycił Lońka, bo chociaż dziewczyna umiała pływać, była jednak wyczerpana i zszokowana. Ja zaś zaproponowałem Kubie, że go podholuję do brzegu.

– Odczep się, sam popłynę. Ty się kajakiem zajmij.

– Przecież nie umiesz pływać...

– Już umiem. Właśnie się nauczyłem. Człowiek o mojej inteligencji uczy się szybko.

Złapałem wystający dziób kajaka Kuby, on zaś zeskoczył z głazu i nieco osobliwym, ale skutecznym stylem dotarł do brzegu. Tam zaś oświadczył:

– Ta Lorelei to była absolutna dziwaczka. Ja mam dosyć siedzenia gołym tyłkiem na twardym kamieniu już po paru

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

minutach, a ona spędzała w takim położeniu całe dni, do tego śpiewała.

– Bo ona na pewno nie umiała pływać... – uśmiechnął się Lońka.

Humor humorem, ale sprawy stały nie najlepiej. Dwa kajaki uszkodzone, w tym Kuby bardzo poważnie, o dalszym spływie na razie nie było co marzyć.

Zaczęliśmy szukać noclegu. Znaleźliśmy go w niedalekiej wsi góralskiej. Kajaki wyciągnęliśmy na brzeg, rzeczy złożyliśmy w stodole gościnnego gospodarza i rozpoczęliśmy naradę, przypominającą słowiański wiec. Bo i ognisko i żeby się nie przeziębić – łyk wódki z gorącą herbatą, wydzielony przez wachtę dyżurną na rozkaz komandora.

– Tutaj tych kajaków nie naprawimy – stwierdził ponuro Lońka.

– Przecież nie zrezygnujemy ze spływu... – oburzyła się Lena.

– Ja mam pomysł – krępy, mocny Adek miewał zawsze dobre technicznie pomysły – Nam potrzeba wielkiej krypy...

– Co to jest wielka krypa? – zapytała Renia.

– To samo co mała krypa, tylko większa – filozoficznie wyjaśnił Kuba.

– Skąd weźmiesz krypę? – Lońka miał wątpliwości.

– Wcale nie wezmę. Zbudujemy. Dykty na kajaki tu nie dostaniemy, ale drewna jest pod dostatkiem. Przecież górale tutaj budują swoje łodzie i nimi wożą turystów...

– No i co dalej? Krypę to ja już widzę, tylko nie bardzo wiem, co ta krypa ma robić? Tańczyć? Adek popatrzył na Kubę z techniczną wyższością.

NA WODNYM SZLAKU

– Na krypę załaduje się uszkodzone kajaki i tak dopłyniemy aż do miejsca, gdzie je będzie można naprawić.

– Najwcześniej chyba w Kazimierzu nad Wisłą... – Lońka był pesymistą.

– No to do Kazimierza... Tam się kajaki naprawi. I tak gdzieś musimy dłużej wypocząć.

– Do Kazimierza jest dobre kilkaset kilometrów, a krypa płynie wolno...

– Ale krypa płynie dniem i nocą – twardo stwierdził Adek.

Właśnie to: „Krypa płynie dniem i nocą" stało się hasłem naszego spływu.

Zebraliśmy pieniądze, każdy dał, co miał i co mógł, górale tanio sprzedawali materiał i jeszcze pomogli szybko wyrychtować pokaźną, płaską, szeroką łajbę, na której mieściło się swobodnie czworo ludzi i dwa kajaki. Postawiono na niej maszt, skombinowano płócienny żagiel i długie drągowe wiosło. Po dwóch czy trzech dniach mogliśmy już płynąć dalej, zmieniając się wachtami na krypie, która płynęła rzeczywiście dniem i nocą, gdy kajakowe załogi nocowały na brzegu.

Nim jednak nastąpił odjazd, pierwszej już nocy w gościnnej wsi, nastąpił jeden z naszych zabawniejszych przypadków. A jego bohaterem stał się przede wszystkim znowu Kuba.

Poszliśmy bowiem wszyscy spać do stodoły. Ostrzeżeni przez gospodarza o niebezpieczeństwie pożaru, posługiwaliśmy się tylko latarkami elektrycznymi, oświetlającymi jedynie małe kręgi siana i słomy.

Ułożyłem się przy Lenie, z siana usłaliśmy sobie pachnące posłanie, pod głowę wzięliśmy swetry, na siebie narzuciliśmy wilgotne koce i głośno pochwaliliśmy nasze legowisko.

– Ja mam lepiej – przelicytował Kuba – i cieplej, i miękko...

– Pewnie – zakpił Adek – przy Reni ci tak dobrze.

– Przy Reni też, ale żadna kobieta świata nie zastąpi uczciwej baranicy.

– Masz baranicę?

– Oczywiście. Tyle, że dość ciężka, więc nie nakryjemy się nią, ale jak się do niej przyłożymy to i cieplutko i poduszka królewska...

– Ten to ma osobliwe szczęście – zauważył Lońka – Pływać uczy się błyskawicznie, konkuruje z Lorelei i jeszcze do tego ma baranicę. Potwornie inteligentny facet.

Zmęczeni zasnęliśmy szybko, ale po dwóch–trzech godzinach Lena obudziła się i szarpnęła mnie za rękę.

– Słuchaj, zrób coś, ten Kuba tak okropnie chrapie.

– Pewnie skonany i wykończony pływaniem...

– Ale poradź coś...

– Co? Mam chłopaka budzić? Szkoda go.

– Zagwiżdż coś! Na przykład „Grenadę".

Zagwizdałem „Grenadę", potem nawet zacząłem śpiewać „Nasz szwadron kolegę bez żalu pogrzebał" i „Jabłoczko", piosnkę... Ale nie pomogło. Chrapanie wzbogaciło się tylko o ciężkie pomruki. Kuba był widać także bardzo muzykalny. Ale wreszcie zmęczenie przemogło. Zasnęliśmy znowu. Już twardo. Do samego rana. I dopiero potworny wrzask Kuby wyrwał nas ze snu.

Kuba stał na środku stodoły.

A nad nim stał... niedźwiedź.

I to była baranica Kuby. To były te okropne chrapania i pomruki. Odkupiony od cygnaów, oswojony miś, własność naszego gospodarza.

Wiele było przygód na tym spływie. Ta była chyba najzabawniejsza. Potem były spływy następne. A potem?... Potem już tylko cienie...

Ciąg dalszy nastąpi

KAZIMIERZ DĘBNICKI

* Drobna, stroma, b. silna fala, występująca na rzekach górskich.

NA TRASIE RAJDU ROWEROWEGO 30 – LECIA „ŚWIATA MŁODYCH"

DRUHNA NA DWIE PIĄTKI

Drugiej takiej wychowawczyni i drużynowej, serdecznego człowieka, jak **druhna Stanisława Tarka** ze świecą by szukać.

W Janowie Lubelskim rozbiliśmy nasz rajdowy biwak na terenie obozu harcerzy z gmin Drerow i Komarówka w woj. bialskopodlaskim. Jeszcze nie całkiem się wypakowaliśmy z ciężarówki, a już znalazła się przy nas siwa pani z uśmiechem na ustach, proponując rosołek na kurze i inną pomoc.

– Dlaczego pani chce dla nas tak dobrze, czym zasłużyliśmy? Jesteśmy zupełnie obcy.

– Jesteście tak samo jak my harcerzami. Harcerz, gdzie by nie był, kim by nie był, jeżeli nosi mundur – jest naszym bratem. Przybywacie z dalekiej drogi i na nowe miejsce, więc możecie potrzebować pomocy.

– Kim druhna jest?

– Jestem nauczycielką w szkole podstawowej. Uczę przeważnie w klasie ósmej: języka polskiego, wychowania obywatelskiego, prac ręcznych, wychowania plastycznego i historii.

– Druhna przede wszystkim uczy uśmiechu. Kiedy się na panią patrzy, to się człowiekowi robi radośnie. Uśmiech jest zaraźliwy...

– Powiedział mi kiedyś ktoś, że mam buzię jak księżyc w pełni. Wiecznie uśmiechniętą. Ten rok jest dla mnie najlepszy. Dostałam aż dwie 5, czyli 55 roczków.

– Nie wszystkie kobiety mówią o swym wieku.

– Od szeregu lat jeżdżę na obozy, cieszę się, że jestem wciąż przydatna. W tym roku moja drużyna pojechała na obóz wędrowny, więc pomagam koledze prowadzić to zgrupowanie.

– Macie tu, widzę, w namiocie pracownię fotograficzną.

– Tak. Robimy dzieciom zdjęcia, aby miały pamiątkę z obozu. Oczywiście odbitki robimy w nocy, kiedy w namiocie jest ciemno. Ale chodźcie na rosół...

PAPCIO CHMIEL

GRÓD DLA PRZEDSZKOLAKÓW

Następny biwak mamy rozbić nad Zalewem w Janowie Lub. Mniej więcej kilometr za miastem Tytus wychyla się z samochodu nie zważając na deszcz i woła:

– Gród obronny przed nami!

Tytus, mimo że jest szympansem, ma wzrok sokoli. Po chwili i ja dostrzegam palisadę ze strzelnicami. Grupa chłopców przerzuca przez palisadę okrąglaki. Ubrani są w niebieskie kurteczki i czapeczki z literami OHP.

– Co tu się dzieje? – pytam wodza grupy i opiekunkę, panią nauczycielkę Zofię Kuźnicką.

– Budujemy plac zabaw dla dzieci pracowników Instytutu Badań Leśnych. W tej chwili wybudowany jest już parkan, alejki i zrobione wykopy pod różne urządzenia zabawowe. Pracuje tu młodzież z Ochotniczych Hufców Pracy pierwszych klas liceum ogólnokształcącego w Janowie Lubelskim. W tej chwili chłopcy robią piaskownicę. Ponieważ ogródek jest przeznaczony dla dzieci pracowników lasu, wszystko będzie zrobione w stylu leśnym. Ogródek będzie gotowy we wrześniu. Cała grupa solidnie pracuje, ale najbardziej ofiarnie – nawet poza godzinami – pracują: Włodek Blacha, Jurek Jargiłło i Rysio Kołtyś.

– Jakie korzyści materialne mają chłopcy z tej pracy?

– Przez trzy tygodnie zarobili po ok. 1200 złotych, dostali mundury na własność, w czasie pracy otrzymywali drugie śniadanie. Urządziliśmy im dwie wycieczki: do pałacu w Łańcucie i statkiem z Sandomierza do Kazimierza. Oglądali występy folklorystyczne. Mieli ognisko w lesie.

PAPCIO CHMIEL

W KRĘGU PRZYJACIÓŁ

CZECHOSŁOWACJA

Pionierzy Czechosłowacji obchodzić będą w 1979 roku 30-lecie działalności swojej organizacji. 24 kwietnia – dzień powstania pionierskiej organizacji – jest u naszych południowych sąsiadów świętem pionierskim. Tradycje pionierskiej działalności są jednak znacznie starsze. Już w latach 1919 – 1938 działały postępowe organizacje dzieci robotniczych, a po wojnie, w wyzwolonej Czechosłowacji, pierwsze drużyny pionierskie powstały w 1945 roku.

Obecnie Pionierska SZM, czyli Pionyrska Organizace Socialistickeho Svazu Mladeže, jest masową organizacją dzieci i dorastającej młodzieży w wieku od 6 – 15 lat, a jej celem jest przygotowanie ich do życia i działalności w społeczeństwie socjalistycznym.

Najmłodsi członkowie pionierskiej organizacji w wieku od 6 – 7 lat, to „iskry". Wzorem postępowania dla iskier są wymagania odznak: „mądrej sowy", „artysty-słowika", „sprytnego kotka", „bystrego pieska" i „pracowitej pszczółki". Iskry działają w grupach zwanych gwiazdeczkami i postępują zgodnie ze złożoną obietnicą i 5-punktowym prawem.

Młodsi pionierzy w wieku 8 – 12 lat zdobywają trzy stopnie zwane płomieniami: bystrości, wytrwałości, samodzielności i postępują zgodnie z 8-punktowym prawem.

Starsi pionierzy w wieku 12 – 15 lat realizują zadania określane mianem pionierskich dróg: odkryć, rezultatów i działań. Wykonując zadania pionierskich dróg zdobywają dwustopniowe odznaki zespołowe np. młodego technika, przyrodnika, artysty, sportowca, turysty itp. oraz odznaki zainteresowań i umiejętności indywidualnych z różnych dziedzin: polityki, techniki, przyrody, kultury, sportu, turystyki i obronności.

Pionierzy całej szkoły tworzą szkolną organizację zwaną skupina, w klasach organizowane są pionierskie oddziały, które dzielą się na drużyny złożone z 8 – 10 osób. Pionierzy czechosłowaccy noszą niebieskie koszule i czerwone chusty, znaczek organizacyjny, odznaki zdobytych stopni i sprawności oraz oznaczenie pełnionych funkcji w postaci gwiazdek. Zawołaniem pionierskim jest: „Zawsze gotów!"

(fb)

CHCESZ ZDOBYĆ
DOBRZE PŁATNY ZAWÓD
I BUDOWAĆ HUTĘ KATOWICE
ZGŁOŚ SIĘ
DO ZESPOŁU
SZKÓŁ BUDOWLANYCH
GENERALNEGO WYKONAWCY
BUDOWY HUTY KATOWICE

ZESPÓŁ SZKÓŁ BUDOWLANYCH
PRZEDSIĘBIORSTWA BUDOWNICTWA PRZEMYSŁOWEGO „BUDOSTAL-4" W DĄBROWIE GÓRNICZEJ, ULICA: PIASKI, nr kodu 41–303, nr telefonu 62–50–71 do 79 wewn. 322 lub 247

Ogłasza zapisy kandydatów

do klas I-szych Zasadniczej Szkoły Budowlanej dla Pracujących na rok szkolny 1978/79 w następujących zawodach:
UCZNIOWIE MŁODOCIANI – ukończone 15 lat
3-letni okres nauki:
1) ślusarz-spawacz
2) mechanik kierowca pojazdów samochodowych
3) mechanik maszyn budowlanych
2-letni okres nauki:
1) cieśla budowlany
2) murarz-tynkarz
3) betoniarz-zbrojarz
4) monter wewnętrznych instalacji budowlanych
UCZNIOWIE PEŁNOLETNI (O.H.P.) – ukończone 18 lat
2-letni okres nauki:
1) cieśla budowlany
2) murarz-tynkarz
3) betoniarz-zbrojarz
4) malarz budowlany
5) posadzkarz
6) blacharz-dekarz
7) monter zewnętrznych sieci komunalnych
8) monter konstrukcji żelbetowych
9) monter konstrukcji stalowych
10) mechanik maszyn i urządzeń przemysłowych
Uczniowie 18-letni zgrupowani są w Ochotniczym Hufcu Pracy nr gie śniadanie w dniach nauki i pracy oraz podręczniki szkolne. Młodzież ZSB korzysta z różnych form zorganizowanego wypoczynku jak: wycieczki, obozy szkoleniowo-rekreacyjne, wczasy zakładowe w atrakcyjnych miejscowościach. Ponadto ma możliwość uczestniczenia w sekcjach kulturalno-oświatowych w zależności od zainteresowań np: muzycznej, estradowej oraz sekcjach sportowych.
Podanie o przyjęcie do Zasadniczej Szkoły Budowlanej należy składać pod adresem szkoły.
Do podania należy dołączyć.
1) świadectwo ukończenia szkoły podstawowej
2) świadectwo lekarskie o zdolności do zawodu
3) metrykę urodzenia do celów meldunkowych w internacie
4) dwie fotografie
Uczniowie 18-letni zgrupowani są w Ochotniczym Hufcu Pracy Nr 13–9, gdzie równocześnie mogą odbyć służbę wojskową. Zasady przyjęcia do Hufca przesyłane są odrębnie zainteresowanym. Absolwenci ZSB mogą kontynuować dalszą naukę w systemie wieczorowym w 3-letnim Technikum Budowlanym, wchodzącym w skład Zespołu Szkół Budowlanych P.B.P. „Budostal-4".
DOJAZD DO SZKOŁY:
z Centrum Dąbrowy Górniczej tramwajem nr 21 w kierunku Huty „Katowice" – wysiadać przy Przedsiębiorstwie „Transbud-2" lub autobusami WPK nr 86, 27, 18, 55 – wysiadać na przystanku Zajezdnia WPK w Gołonogu.

K-118

SKRZYNKA ZAUFANIA

Zdałem już do VII klasy, a jestem bardzo niski. Wszyscy koledzy – i w klasie, i na podwórku – są ode mnie wyżsi. Z tego powodu przezywają mnie i dokuczają mi. Do VI klasy uczyłem się dobrze, ale potem pogorszyłem się i nawet groziła mi poprawka. Zrobiłem się bardzo nerwowy i ciągle kłócę się z mamą, która twierdzi, że kiedyś byłem lepszy. Najbardziej lubię być teraz sam, bo koledzy mnie nie lubią. Czy zawsze już muszę być ten najgorszy?

Jacek

Jackowi odpowiada mgr DANUTA ŚWIERCZYŃSKA
z Uniwersytetu Warszawskiego

MAŁY WZROST – DUŻY KŁOPOT

Dysproporcje we wzroście wśród chłopców łatwo można zauważyć w każdej starszej klasie szkoły podstawowej. Są one wynikiem indywidualnych różnic w przebiegu procesu dojrzewania młodego organizmu. **Z reguły między 13 a 14 rokiem życia zaczyna się u chłopców okres intensywnego wzrostu. Rosną oni wtedy w ciągu roku około 6 cm. Zdarza się nawet, że „wyciągają się" w górę aż 10 czy nawet 15 cm. Górują wtedy dość znacznie wzrostem nad rówieśnikami, którzy wkraczają w okres tak intensywnego rozwoju, dopiero w wieku lat piętnastu czy szesnastu. Nie oznacza to wcale, że muszą być w przyszłości niżsi od tych, którzy przewyższali ich o głowę w szóstej czy siódmej klasie.** W wyniku tych różnic w tempie rozwoju, niektórzy chłopcy doganiają wzrostem swego tatę już w wieku czternastu lat, inni – dopiero wtedy, gdy mają lat siedemnaście czy osiemnaście. **Jest to sytuacja zupełnie normalna** i można by przejść nad nią do porządku dziennego, gdyby... Właśnie, gdyby nie była ona dla niektórych bardzo dużym i kłopotliwym problemem. Z listu Jacka wynika, że jednak jest o czym mówić.

Chłopcy w wieku Jacka bardzo cenią siłę. Przywódcą klasy czy paczki może być prawie wyłącznie ten, kto jest silny i sprawny. Te cechy fizyczne są potrzebne dla zdobycia sobie autorytetu. Najczęściej obdarzeni są nim chłopcy wysocy, którzy na każdym kroku podkreślają swoją męskość. **I tu tkwi źródło problemów Jacka. Jest niższy, a więc prawdopodobnie słabszy fizycznie. Chłopcy będący w sytuacji podobnej marzą o tym, aby zaimponować kolegom. Za wszelką cenę chcą zdobyć ich sympatię.** Próbują dostosować się do ich form bycia nie dlatego, że im one odpowiadają, ale dlatego, aby być razem z silnymi. Często zdarza się tak, że jeżeli np. ci silniejsi palą, oni też sięgają po papierosa. Gdy silni używają ordynarnych słów – robią to samo, nierzadko używając takich słów częściej. Czasem próbują uzyskać otoczenie przez wygłupy i błazenadę. Może to stać się powodem do traktowania każdego z nich, jako „klasowego pajaca". Sytuacja taka staje się nie do zniesienia. **chłopak nie rozumie, dlaczego jego wysiłek i dobre chęci obracają się przeciwko niemu. Denerwuje go to i poniża.**

Dobre oceny rzadko kiedy liczą się w oczach kolegów. Dlatego nawet zdolni chłopcy, którzy mają takie problemy jak Jacek, opuszczają się w nauce. Są tak zajęci myślą, jak zdobyć popularność wśród kolegów, że nie zauważają, kiedy stają się uczniami ledwo dostatecznymi. Otrzymywane przez nich oceny wywołują niezadowolenie rodziców i nauczycieli. Fakt ten jeszcze pogarsza ich sytuację: w szkole nie czują się dobrze, w domu rodzice czynią im wymówki. **To powoduje stałe napięcie nerwowe. Każda, nawet najdrobniejsza, uwaga ze strony domowników, może stać się przyczyną kłótni, a w konsekwencji jeszcze większego zamknięcia się w sobie i mocniejszego utwierdzenia się w przekonaniu, że jest się tym „najgorszym".**

Chłopców w wieku Jacka bardzo drażni nadmierna opiekuńczość matek. Irytują ich zdrobnienia imion i czułości. **Wydaje im się, że nawet tu, w domu, nie są traktowani poważnie.** To stwarza dodatkowe bariery między nastolatkami i ich rodzicami, nawet, jeżeli jeszcze niedawno pozostawali w przyjaźni.

Cóż można poradzić Jackowi? Chyba powinien on spróbować zainteresować się poważnie jakimś hobby. Nie wiem, co Jacek lubi, ale każda sprawa, która go zajmie (czy to majsterkowanie, czy filatelistyka, czy tresura psa, czy jeszcze coś innego) jest dobra. Chodzi tutaj o dwie sprawy. Po pierwsze – każda pasja absorbuje, zajmuje czas, odwraca uwagę od dręczących człowieka kompleksów. Po drugie – po pewnym okresie zajmowania się jakimś hobby – można dojść w danej dziedzinie do mistrzostwa i nim właśnie górować nad kolegami. Świadomość, że w czymś jestem lepszy od innych, bardzo poprawia ogólne samopoczucie. Nie mówiąc już o tym, że na bazie wspólnych zainteresowań jest okazja do poznania innych, nowych kolegów.

Wszystkim zaś, którzy chcą pomóc swojemu organizmowi w szybszym rozwijaniu się, można zalecić jak najwięcej ruchu. Korzystne jest pływanie, turystyka piesza i gry zespołowe, takie jak np. piłka ręczna. Nie zaleca się natomiast uprawiania takich dyscyplin sportu jak kolarstwo czy sporty siłowe które rozwijają tylko określone partie mięśni.

ZAGADKA Z GUAMY

CUBA'78

Rozdziawione paszcze w absolutnym bezruchu. Wystają z nich, niczym szable, ostre kły. Małe, kolorowe ptaszki wędrują po nich wydłubując z międzyzębia resztki pokarmu. Aż strach bierze, że nagle paszcza kłapnie i... po ptaszku. Ale nic z tych rzeczy – drzemiące na lądzie krokodyle nie reagują na nic. Trudno dostrzec u nich wtedy oddech, jakiś ruch, mrugnięcie oka. Sprawiają wręcz wrażenie martwych. Godzinami potrafią tak trwać, niczym w letargu...

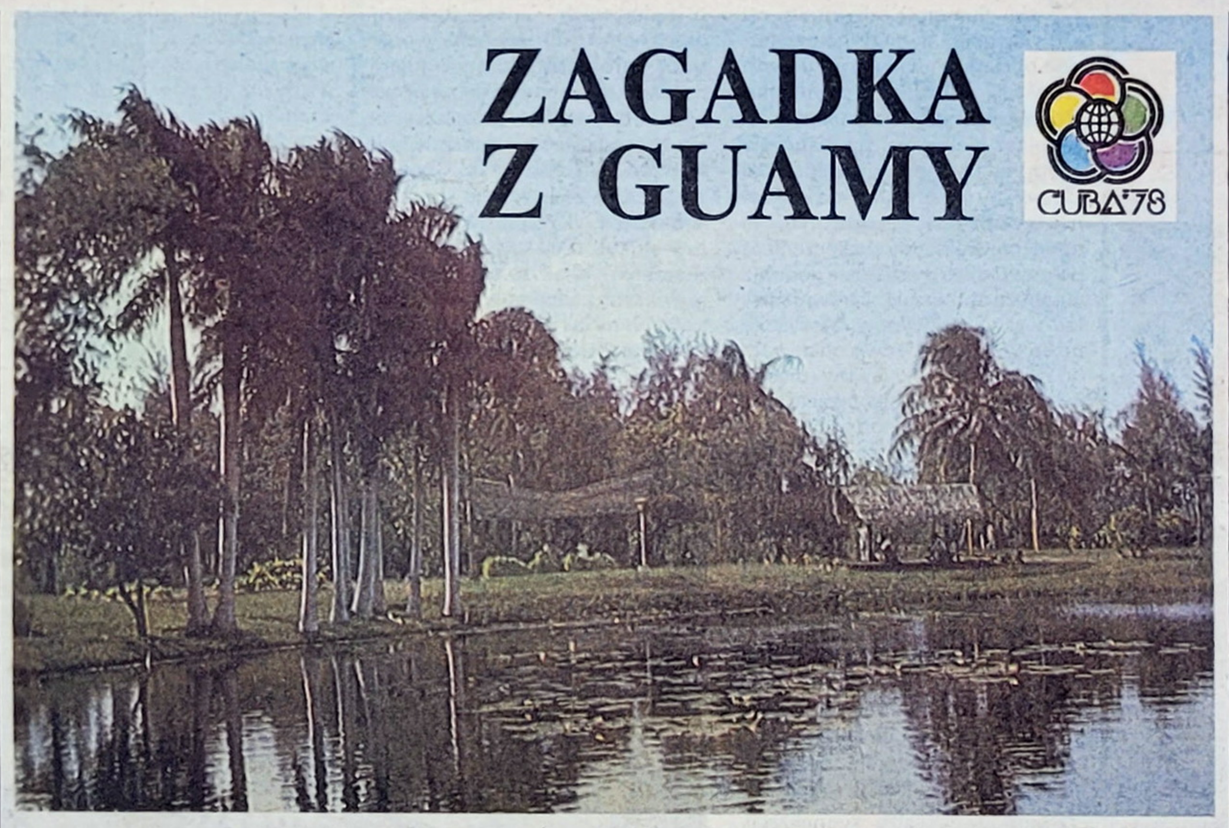

Jesteśmy na Kubie. Gdy patrzy się na mapę tego kraju, nietrudno zauważyć, że kształtem swych lądów przypomina on sylwetkę... krokodyla. Zbieg okoliczności oczywiście, ale na wyspie Kuba żyją krokodyle. Zagadkowy to fakt, bo trudno dociec skąd się tam wzięły. Naukowcy stwierdzają bowiem, że przed wiekami ich tam nie było. Czyżby kiedyś przywiezione zostały czółnami przez Indian?! A może same przepłynęły morzem kilkaset kilometrów znad ujścia rzeki Orinoko?! Nie wiadomo, w każdym razie – są. Niewiele ich żyje w stanie dzikim na bagnistych obszarach prowincji Zapata, natomiast w jednej z tamtejszych miejscowości, Guama, znajduje się ogromny ich rezerwat przekształcony w... farmę hodowlaną.

Bajora, stawy, rozlewiska otoczone ogrodzeniami, wypełniają stada tej zwierzyny (o ile o gadach – bo krokodyle są gadami – można tak powiedzieć). Wielkie, dochodzące do kilku metrów długości, o płaskiej głowie, z dużym pyskiem, ze stożkowatymi zębami, o krótkich, jamnikowatych łapach, pokryte na grzbiecie zrogowaciałą skórą. Potrafią być groźne dla zwierząt kopytnych i dla człowieka.

Przebywają głównie w wodzie, ale lubią również ospale wylegiwać się na brzegu. Drzemiąc tak, niby na nic nie reagują, ale gdy dostrzegą coś do zjedzenia – rzucają się nagle w tym kierunku szybkim kłusem. Poskromione przez hodowców długimi, zakończonymi szpikulcem kijami – umykają, groźnie prychając.

Samice zagrzebują jaja w suchych miejscach zostawiając je pieczy... ciepłych promieni słonecznych. Małe po wylęgnięciu się smykają do wody, w której pławią się z wyraźną rozkoszą. Rosną stosunkowo szybko.

Dzięki ochronie i podkarmianiu padliną farma liczy obecnie już 44 tysiące krokodyli. Hoduje się je nie tylko dla podtrzymania gatunku tych niezbyt już często spotykanych gadów, ale również dla... mięsa, a przede wszystkim dla niezwykle cennej skóry służącej do wyrobu bardzo eleganckiej i bardzo drogiej galanterii – torebek, pantofli, pasków...

Rezerwat stanowi również dużą atrakcję turystyczną. Już sam dojazd do niego jest malowniczy – płynie się małym stateczkiem kanałami oraz poprzez piękne jezioro del Tresoro. W rezerwacie hodowcy demonstrują gościom łowy na krokodyle dokonywane za pomocą... lassa. Widziałem jak na sznurku przewiązanym wokół paszczy prowadzono do weterynarza niedużego, może metrowej długości, krokodylka. Wyglądał osowiale i smutnie. Jakby przeczuwał czekające go zastrzyki. Ociągał się, zatrzymywał, ronił prawdziwe łzy.

Jest też w rezerwacie stoisko z pamiątkami. Najbardziej atrakcyjne były w nim, nie tylko z powodu ceny, ślicznie spreparowane krokodyle różnej wielkości. Oczywiście z rozdziawionymi paszczami.

Jeśli ktoś trafił do Guamy, odwiedza również położoną w pobliżu słynną Playa Larga – drugi koniec Playa Giron – pasmo plaż, które 17 kwietnia 1961 r. kontrrewolucjoniści obrali na miejsce wylądowania i podjęcia walk przeciw rewolucyjnemu rządowi Fidela Castro. Właśnie tutaj, w ostępach bagnistego półwyspu, zamierzano utworzyć przyczółek dla władz, które chciały restaurować reakcyjne, proamerykańskie, batisowskie porządki. Trzy tysiące żołdaków rekrutujących się spośród rodzin politycznych emigrantów kubańskich, wyszkolonych i uzbrojonych przez USA, miało być zaczynem oczekiwanego ponoć buntu szerokich mas. Uczestnicy tego desantu nie spodziewali się, że spotkają się z zupełnie innym odzewem. Spontanicznie sformowane grupy obronne stawiły czoło agresorom, dopóki nie nadeszły formacje regularnego wojska. Po dwóch dniach zażartego boju, ci, którzy marzyli o powrocie dawnych rządów, ponieśli druzgocącą klęskę.

Zginęło wtedy wielu obrońców rewolucyjnej Kuby. Ich nazwiska wyryte są na betonowych obeliskach, które jak słupy milowe rozstawiono wzdłuż drogi wiodącej do Playa Larga. Na terenie walk z kontrrewolucjonistami utworzono obecnie park narodowy – docelowy punkt licznych wycieczek, piękne miejsce do wypoczynku.

Wśród bagien Zapaty nadal wiodą spokojny żywot rybacy i węglarze. Ci ostatni uprawiają zawód na ogół mało nam znany. Do wykopanych w ziemi dołów wrzucają drewniane drągi, przykrywają je trawą, a następnie ziemią. Później – podpalają. Po jakimś czasie studzą te „dymiące pryzmy" ziemią i wodą aż wygaśnie w nich żar. W ten sposób wytwarzają węgiel drzewny, który służy jako cenny opał.

We współpracy z Holendrami opracowano plan osuszenia i rolniczego zagospodarowania rozległych obszarów bagiennych. Na razie nie przystąpiono jeszcze do urzeczywistniania tych planów, przedsięwzięcie jest zbyt kosztowne. W przyszłości – ziemie Zapaty mają rodzić ryż i warzywa.

Ale – zaczęliśmy od kubańskich krokodyli. I na nich skończymy. Jeden z nich, oczywiście spreparowany, jest w Warszawie. Gdy Fidel Castro zwiedzał Warszawę pokazano mu Stare Miasto. Zainteresował się wtedy staromiejską kawiarnią „Krokodyl". Bardzo mu się podobała. W którymś momencie spytał się – „No, a gdzie jest krokodyl? Jak to nie ma?! – To ja Wam przyślę. W kawiarni „Krokodyl" musi być krokodyl". Nie zapomniał o obietnicy. Możecie go przy okazji wycieczki do Warszawy obejrzeć.

WOJCIECH BORSUK
Fot. **autora**

Drzemią niczym w letargu, największe osiągają 7 metrów długości

Maczeteros, ci którzy ścinają trzcinę cukrową

REDAKCYJNA POCZTA

Na obozie było świetnie!

Niedawno wróciłam z obozu harcerskiego organizowanego przez Komendę Hufca ZHP w Opolu, w miejscowości Kucoby. Do domu przyjechałam pełna wrażeń i trochę zasmucona, że obóz tak szybko dobiegł końca. Trzy tygodnie spędzone wspólnie z druhami opolskimi pozostawiły w mojej pamięci wiele miłych wspomnień. Bardzo ciekawe były dni specjalne: dzień przyjaźni, festiwal piosenki harcerskiej, dzień sportu, trzynasty dzień obozu – wzbogacały one i urozmaicały pobyt w maleńkiej miejscowości niedaleko Olesna. Przypominając sobie ogniska oraz wiele innych ciekawych imprez, na nowo przeżywam to wszystko. Chciałabym podziękować kadrze oraz wszystkim uczestnikom za taką dobrą organizację obozu. Gorąco zachęcam czytelników „ŚM", którzy nie byli na obozach harcerskich (mam nadzieję, że takich jest niewielu) do wzięcia w nich udziału. Nie twierdzę, że tylko nasz obóz był bardzo udany. Na pewno na wszystkich jest fajnie.

Obecnie w Kucobach przebywa II turnus, później będzie III, dlatego też życzę wszystkim druhom i druhnom równie przyjemnego pobytu.

Cherubina Zielińska

Uwierzyłam!

„Uwierz w siebie" – pod tym tytułem ukazała się w 78 nr. „Świata Młodych" odpowiedź na mój list, nadesłana przez Marka. Za Twoim pośrednictwem, kochana Redakcjo, bardzo chciałam podziękować Markowi za ciepłe słowa otuchy. Zrozumiałam, że nie jestem sama na świecie, że znalazł się ktoś, kto mnie nareszcie zrozumiał i przekonał. Bardzo jestem mu za to wdzięczna. uwierzyłam w siebie i jestem szczęśliwa. Myślę, że takiego przyjaciela jak Ty, Marku, chciałaby mieć każda dziewczyna.

„Majka"

MOJA KOLEKCJA (18)

HANOMAG „KOMMISBROT" Z ROKU 1924

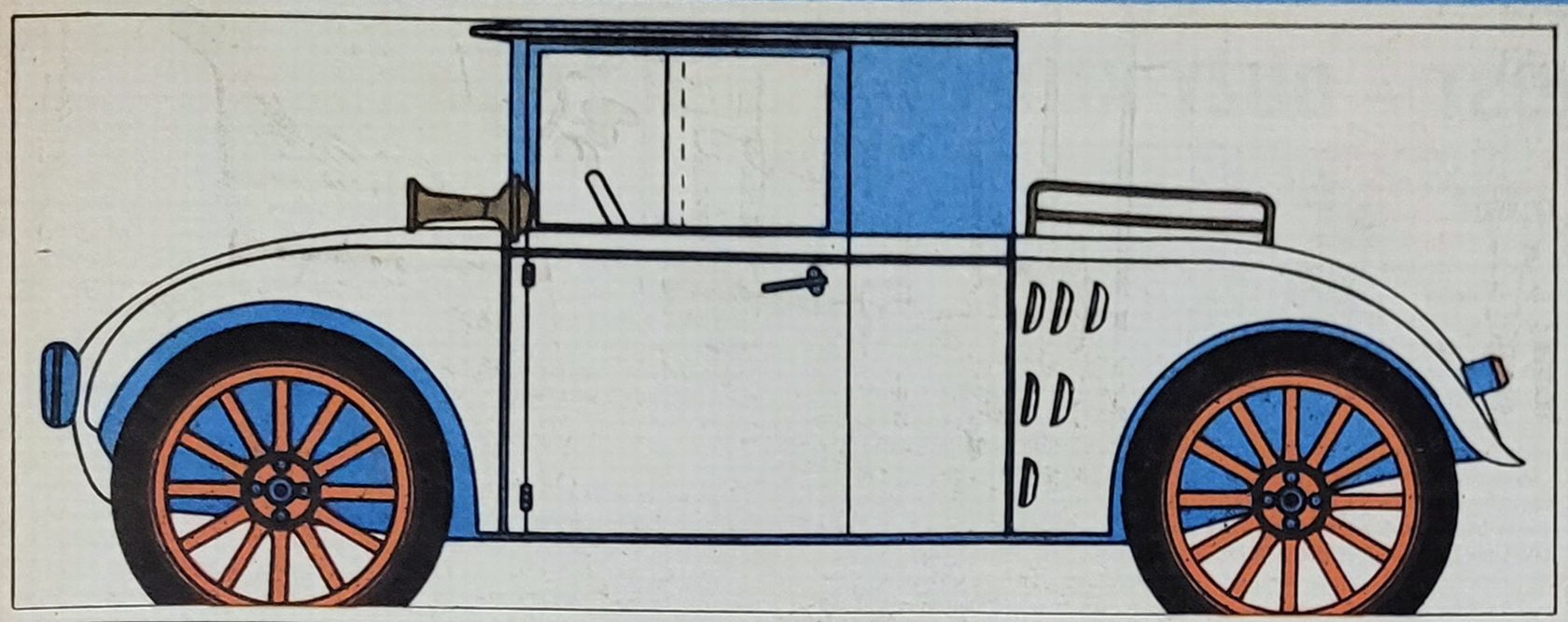

W okresie międzywojennym dużą popularnością cieszyły się niemieckie samochody marki HANOMAG. Wytwórnia produkująca te pojazdy powstała w roku 1924 w Hannowerze.

Pierwszym jej produktem był udany model popularnego samochodziku małolitrażowego, który zyskał przydomek „KOMMISBROT". Kommisbrot po niemiecku oznacza chleb wojskowy, a samochód został nazwany tak dlatego, że kształtem swym przypominał bochenek chleba.

Pojazd ten był przykładem uproszczonej, a zarazem i nowoczesnej konstrukcji samochodu popularnego. Jego nadwozie stanowiła płyta, spełniająca rolę ramy, która jednocześnie była platformą do mocowania pozostałych układów i mechanizmów samochodu.

Jednocylindrowy, czterosuwowy silnik o pojemności 499 cm sześc. i mocy 12 KM umieszczony był z tyłu i napędzał koła tylne. Silnik ten chłodzony był wodą.

Na płycie podwoziowej HANOMAGA osadzone było dwuosobowe nadwozie. Model podstawowy wytwarzano z odkrywaną kabiną pasażerów. Wersje pochodne miały bardzo „kanciastą" nadbudówkę kabiny — model z tej wersji przedstawiony został na rysunku. Nadwozie to posiadało nieskomplikowaną konstrukcję i proste kształty. Przód i tył samochodu były do siebie podobne, a rozpoznanie ich umożliwiał pojedynczy reflektor umieszczony z przodu. W związku z niewielką przestrzenią wewnątrz pojazdu, do przewozu ładunków służył bagażnik umieszczony na zewnątrz tuż za kabiną pasażerów.

W okresie czteroletniej produkcji tego modelu samochodu, bramy fabryki opuściło 15 795 egzemplarzy.

Rozwiązania konstrukcyjne stawiają ten model wśród samochodów, w oparciu o które rozwijana była konstrukcja innych pojazdów popularnych. Między innymi powstały znacznie później VOLKSWAGEN posiadał podobną budowę.

ZENON DUTKIEWICZ

Przedziwne gupiki

Akwarystyka to popularne hobby miłośników naszego kącika. **Maciej Piorunek z Milicza** od 2 lat zajmuje się hodowlą gupików. W swoim akwarium przeprowadził ciekawe obserwacje rybek zarażonych pleśniawką.

„Jeden z samczyków gupika welonowego szczególnie był nią dotknięty. Wydawało się, że nie przeżyje. Po pewnej kuracji udało mi się go uchować, lecz rybka straciła kolory, była zupełnie biała. Gupik sprawiał wrażenie ślepego. Aby to sprawdzić, kiedy znajdował się przy szybie, energicznie ruszałem białą kartką. Następnie wziąłem lampą błyskową i parę razy błysnąłem. Samiec ani drgnął. Po dwóch tygodniach odzyskał ubarwienie, lecz kolory nie były tak intensywne jak niegdyś. Niestety, wkrótce potem wszystkie płetwy zrobiły się czarne i samczyk zdechł. W czasie sekcji stwierdziłem, że wnętrzności były białe. Część jelita umieściłem pod mikroskopem. Przy powiększeniu 500 × wyglądało jakby było pokryte pleśnią" – napisał Maciek.

Otóż, jak stwierdził specjalista z Polskiego Związku Akwarystów, Maćkowi nie udało się wyleczyć gupika z pleśniawki. Przeprowadzone przez niego rzetelne obserwacje wskazują na bardzo zaawansowane stadium choroby, w którym ogarnęła ona całe ciało. Pleśniawka doprowadziła do śmierci gupika. Chorobę tę można przywlec do akwarium z obcymi rybami, wodorostami itp. Najskuteczniejsze preparaty przeciw pleśniawce to importowany „silex" i „odkażalnik" produkcji krajowej. Przeprowadzając kurację należy wymienić część wody i podnieść jej temperaturę do 28°C (taką gupik jeszcze wytrzymuje). W trakcie leczenia jak najmniej karmić rybki. Co 2 dzień wystarczy podawać niewielkie ilości rureczника (tubifeksa), potem przez 3 dni ograniczone ilości innej karmy. Rybki muszą być stale trochę głodne. W zasadzie doświadczony akwarysta powinien sobie poradzić z pleśniawką w ciągu 2 dni.

Warto zaznaczyć, bo nie wszyscy miłośnicy rybek o tym wiedzą, że szerzeniu się pleśniawki sprzyja przekarmianie ryb. Wywołuje ono zatwardzenie, a wtedy maleje odporność organizmu. Nie jest też prawdą, że gupik wytrzymuje wszystko. Rybki te wymagają temperatury 24°C, nie wolno ich w żadnym wypadku przekarmić. Są wrażliwe i delikatne. Sam Maciek przekonał się o tym, obserwując samicę gupika, która stała się jakby garbata, schudła i nie mogła się poruszać normalnie. Rybka ta cierpiała na krzywicę, której nabawiła się prawdopodobnie po porodzie. „Skrzywiona" samiczka nie nadaje się do dalszej hodowli.

Maciej i inni akwaryści znajdą wiele interesujących wiadomości w czasopiśmie „Akwarium", które ukazuje się 6 razy do roku. Chętni, którzy zechcą je zaprenumerować winni wpłacić 106 zł na konto Polskiego Związku Akwarystów, ul. Wolności 41, 41-505 Chorzów, zaznaczając, że chodzi o prenumeratę „Akwarium". Oto nr konta: **PKO Chorzów 27632–781–132.**

Listonoszka MARYSIA

Fotografia przyrodnicza (37)

FOTOODPOWIEDZI

W związku z listem Jana Szybista, wydrukowanym przed wakacjami nadchodzą kolejne, od innych czytelników. W prawie wszystkich są te same wnioski o ogłaszanie konkursów, stworzenie Ligi Fotografów Przyrodniczych, zwrócenie w poszczególnych odcinkach większej uwagi na sprawy techniczne robienia zdjęć i odbitek.

„Od dość dawna interesuję się fotografią przyrodniczą. Jednakże teraz jestem na obozie ZHP i nie mogę przysłać moich zdjęć. Tutaj na naszym obozie jest wiele ciekawych rzeczy, które warte są utrwalenia na odbitce. Na obóz wziąłem swój aparat (FED 4) i gdy tylko mam wolny czas, robię zdjęcia: kwiatów, pięknych krajobrazów, lasów... Jestem bardzo zainteresowany tymi uwagami, które nadesłał czytelnik. Chciałbym również, aby „ŚM" urządzał różne konkursy i chciałbym, aby najlepsi zostali przyjęci do Ligi Fotoreporterów".

Ryszard Nowicki, Jawidz, poczta Spiczyn

Jeden z czytelników trochę inaczej spojrzał na sprawę konkursów. *„Nie rozumiem, dlaczego Jan Szybist pyta się, czy zdjęcia tego samego terenu, wykonane w różnych porach roku, są konkursem czy nie. Zdjęcia robię dla własnej satysfakcji bez oglądania się, czy mają one być tylko dla celów konkursowych czy tylko dla mnie. A jeżeli to nie jest konkurs, to nie zrobię? Satysfakcją może być wydrukowanie, a jeżeli nawet nie, to i tak dzięki Fotografii Przyrodniczej zdobywam duże doświadczenie i przybywa pomysłów, jak można zarejestrować świat przyrody"*

Jan Straube, Okółki

Ja ze swojej strony także przypomnę o nadsyłaniu pierwszych zdjęć tego samego krajobrazu wykonanych w poszczególnych miesiącach roku. Mimo pisania listów nikt takich jeszcze nie nadesłał.

Marek Ostrowski

Krajobrazy Polski (8)

Z MIASTEM

Perony dworców wypełniają się tłumem, odwrotnie niż dawniej – dopiero po przyjeździe pociągu. A więc to już powrót z wakacji. Żal za tym, co minęło: morzem, górami, ale zarazem niecierpliwa ciekawość spotkania się z tym, co dawno opuściliśmy. Jakie zmiany w domu, wśród koleżanek czy kolegów, na podwórku. Dla mnie największym zaskoczeniem po powrocie były rozrosle podczas nieobecności krzaki. I trawnik pełen wysokich kwiatów. Wszystkie przed wyjazdem ledwo odstawały od ziemi. Gałęzie krzewów i drzew, owszem – zielone, ale przecież nie uginały się jeszcze pod liśćmi. A tu już dojrzewają kiście jarzębiny, brązowieją noski klonów. Idę Ale-

MIASTO

jami na wprost opalonych i silnych ludzi z walizkami i plecakami. Czy oni tak samo odczują pierwsze spotkanie z domem po wakacjach?

Czerwone światło sygnalizacji drogowej zatrzymało mnie przed zebrą. Po chwili zielone wpuściło na jezdnię jednocześnie kilkadziesiąt osób. Zielone. Tak, to może być pomysł! Napisać o zieleni w miastach. Zresztą nie tylko o zieleni. W ogóle o przyrodzie zurbanizowanego obszaru. Byłby to zarazem dobry artykuł na zakończenie wakacyjnego cyklu krajobrazów. Powrót z terenów, gdzie z naturą było się na odległość wyciągniętej ręki, konfrontacja z otoczeniem, w którym będziemy przez rok. Przeprosiny z miastem.

Na początek zasadnicze pytanie: co jest cechą krajobrazu przyrodniczego miasta? Zdaje się, że będzie to pierwsza ślepa uliczka. To tak, jakby pisać ogólnie o nizinach, na których tymczasem wyróżniliśmy puszczę, bagno, jeziora, pustynię, wybrzeże. Podobnie i w mieście. Są tereny, gdzie domy mieszkalne toną w zieleni. Dla kontrastu istnieją wręcz całe dzielnice, na których nie ma ani jednego drzewka. Ot, choćby warszawska Starówka: architektoniczna perełka – przyrodnicza pustynia. Tylko na dziedzińcu kościoła św. Marcina schowała się w murach klasztoru rozłożysta akacja – jedyne drzewko, które przeżyło okupację. Albo dalej na Trakcie Królewskim odcinek Nowego Światu. W betonowo-asfaltowej rynnie ulicy tylko dwa drzewka – samosiejki wyrosłe tuż przy murze i dlatego nie rozdeptane. Dziś zwracają uwagę przechodniów rzadkim na tej ulicy zielonym kolorem.

Trzeba też będzie wspomnieć o zwierzętach – współtowarzyszach homo ekumenopolis. A przykład? – proszę: bocian spacerujący po dachach warszawskich wieżowców lub puszczyki straszące ze strychów kilka lat temu zaledwie wybudowanych bloków. Chociaż, zaraz... Czy zwierzęta te spełniają istotną rolę w krajobrazie miasta, czy są tylko ciekawostkami bez znaczenia? Większe znaczenie odgrywają przecież inne – nielubiane, traktowane jak intruzy, ale przecież wszechobecne. Mają swoje społeczności konkurujące z ludzkimi. To szczury, myszy, mrówki. Nie można też pominąć pluskiew i karaluchów. Gdzie zbiorowisko ludzkie,

tam i one. Od wieków. Nawet w tak izolowanym domu, jakim jest statek. Może wspomnieć tu o szczecińskich szczurach, przegryzających kable telefoniczne i podglądających z ukrycia, jak pracownicy łączności co dzień je reperowali?

Wszystko do tej pory są to jednak szczegóły. Tak, muszę je zapamiętać, ale wypełnić one powinny oczka sieci. Myśli przewodniej nadal jednak brak. O jakim krajobrazie miejskim pisać? Może tylko o parkach? Były jednak łazienki i nie o to chyba mi chodzi. Nie interesuje mnie rów-

MIASTA

nież sprawa deptanych trawników, ścinanych drzew lub wysychających od nadmiaru soli czy nieszczelnych podziemnych przewodów gazowych, chociaż i temu warto trochę miejsca poświęcić.

Idę ulicami, nie zważając na przechodniów. Podświadomość czuwa, abym nie wpadł na innych, a gdy już , to powiedział „przepraszam". Pies ciągnie mnie na smyczy. Mijam domy i słupy z przylepionymi karteczkami: „Zginęła podpalana suka..." Specyficzny

Z MIASTEM

miejski problem psów i kotów zagubionych w labiryncie początkowo kilku ulic, a po jednym dniu już i dzielnic. Świat szukających się bez przerwy zwierząt i ich właścicieli.

Miasto to także powietrze. A raczej jego brak. Duszność murów, zaduch spalin już niewyczuwalny przez częściowo zatrutych tubylców. Przychodzi nowy pomysł. Może skupić się na prowadzonych w wielu ośrodkach świata badaniach nad naturalnymi przeciągami, przewietrzającymi przy pomocy odpowiednio usytuowanych ulic i całych dzielnic? W artykule trzeba będzie podkreślić też próby badań nad przystosowaniem się różnych gatunków roślin do życia w mieście. Próby rachityczne jak drzewka doświadczalne wystawione w skrzynkach na głównych skrzyżowaniach. Jeden pomysł pociąga za sobą drugi. Co i raz pojawia się w notatniku nowy, istotny punkt. Naturalna (a na marginesie obok słowa „naturalna" ukośny dopisek „chyba") (ucieczka do natury objawia się w mieście dążeniem do tworzenia doniczkowych ogródków, sadzenia w skrzynkach balkonowych zamiast kwiatów (uznawanych przez niektórych już za coś nienaturalnego) marchwi, cebuli, pomidorów czy nawet ziemniaków.

Nie mogę jednak zapomnieć, że jest jeszcze inny krajobraz, w którym nie ma ulic, a układ przestrzenny umożliwia w większym stopniu wszechstronny rozwój człowieka. Są to pasaże, corsa, agory dla pieszych, poruszających się wśród małej architektury, w której jednym z elementów jest wreszcie sadzawka z wodą. Może więc wspomnieć o tych przykładach miast (często zwanych dzielnicami), gdzie między blokami kopie się kanały wypełnione wodą, aby przybliżyć człowiekowi (i znowu dopisek zrobiony w chwilę później „albo dać złudzenie") naturalne środowisko.

Miasta istnieją już 50 wieków. Wszystkie powstawały nad rzekami. Te pierwsze nad Nilem, Tygrysem i Eufratem, w dolinach rzek chińskich. Potem miasta antyczne – Troja i Babilon. Wreszcie po 35 wiekach (a więc 3,5 raza tyle, ile upłynęło od czasów Chrobrego do dziś, (a pomyśleć jaki to dla nas jest już skok kulturowy) pojawił się Biskupin. Miasto? Co to za miasto w porównaniu z dzisiejszymi? Kilkadziesiąt na kilkadziesiąt kroków, bardziej wtopione w naturalne środowisko niż wyizolowane. Lecz właśnie tak rodziła się dzisiejsza urbanizacja. Wzrastająca coraz bardziej gęstość zaludnienia jest właśnie przyczyną, że musimy dopasowywać się do masy ludzi, sąsiadów, kolegów wśród mniejszej lub większej ilości konfliktowych sytuacji. Te sprawy absorbują tak dalece, że nie dostrzega się drugoplanowych (na krótką metę!) potrzeb kontaktów

O MIEŚCIE

z przyrodą. Inna rzecz, że równolegle ewoluuje nasz system psychiczny, kierujący funkcjami organizmu.

Wypełnił się już notes z pomysłami do artykułu. Z których zrezygnować? Czy istnieje krajobraz przyrodniczy miasta i co nim tak naprawdę jest? Co jest naturalne, a co sztuczne? Jak powinien na to reagować człowiek?

Kieruję się do domu, aby jeszcze raz przemyśleć całość, nim zasiądę do maszyny do pisania. I oto jestem z powrotem na moim podwórku.

– Popatrz, psie – mówię do towarzysza na smyczy – wyszliśmy tylko na spacer, a w tym czasie jak bardzo rozrosły się nam drzewa...

JAMNIK
Fot. **M. Ostrowski**

60 LAT NIEPODLEGŁEJ POLSKI (7)

NIE WIŃMY PRADZIADÓW

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

Narastająca świadomość klasowa pobudzała wolę walki o dokonanie głębokich przeobrażeń ustrojowych, o wzięcie władzy w swoje ręce. To z kolei wnosiło nowy element do świadomości narodowej mas pracujących – poczucie odpowiedzialności za cały naród. Klasa robotnicza dojrzewała do przywództwa.

Kiedy 1 września 1939 r. pancerne kolumny hitlerowskie runęły na Polskę – pięknie wyraził tę świadomość polskiej klasy robotniczej – w poetyckiej formie – Władysław Broniewski:

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
Wysączymy ją z piersi i z pieśni.

Jeśli hitlerowcom nie udało się rozbić naszego narodu, proklamując takie sztuczne twory jak „naród" śląski, kaszubski, góralski, jeśli nie znalazł się ani jeden zdrajca, który by zdecydował się stworzyć marionetkowy „rząd" na usługach faszystów, jak Petain we Francji czy Quisling w Norwegii, jeśli w różnych formach opór przeciwko okupantom był powszechny, a walka zbrojnego podziemia przybrała masowy charakter – to był to wynik wzrostu świadomości narodowej w dwudziestoleciu międzywojennym.

Kiedy polskie klasy posiadające, których interesy reprezentował działający na emigracji rząd w Londynie, okazały się niezdolne do wypracowania realnej polityki – wyciągającej wnioski z klęski wrześniowej, zabezpieczającej interesy i realizującej pragnienia szerokich rzesz narodu – z alternatywą wystąpiła Polska Klasa Robotnicza i podzielająca jej stanowisko radykalna lewica społeczna. Władza w ręce mas ludowych, nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna bez odszkodowania, prawo do pracy i wypoczynku dla wszystkich, bezpłatna opieka zdrowotna i powszechna oświata, powrót na piastowskie ziemie nad Odrą, Nysą Łużycką i Bałtyk, ustalenie wschodniej granicy tak, aby godziła interes narodu polskiego oraz ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego, sojusz i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim – to były główne punkty tego programu. A jeszcze wcześniej rozwinięcie powszechnej walki z okupantem, paraliżowanie niemieckich transportów na front wschodni – bo to tylko mogło przyspieszyć dzień wyzwolenia.

Ale do wypracowania takiego programu, do zdobywania dla niego zaangażowanych bojowników i sympatyków trzeba było tej – osiągniętej w poprzednim okresie świadomości hegemona narodu. Dzięki temu już w latach okupacji dojrzewała w Polsce rewolucja społeczna, kształtowały się przesłanki powstania Polski Ludowej.

Polska Ludowa zapoczątkowuje nowy okres w naszej historii i jest jednocześnie dalszym ciągiem dziejów polskiego narodu. Jest nią przez tych, którzy Ją tworzyli. Rodzili się przecież oni w okresie międzywojennym i w latach zaborów. Jedni z nich dojrzeli do Niej jeszcze wtedy, kiedy mogła być tylko marzeniem, innych porwał wir odbudowy, jeszcze innych dopiero później milowe kroki, jakich dokonaliśmy w społeczno-gospodarczym rozwoju kraju.

Czy urzeczywistnienie tych aspiracji polskich mas ludowych, stanowiących przytłaczającą większość narodu, bez mała cały naród, mogło nastąpić wcześniej? Tylko niezrozumienie tego historycznego dojrzewania do nowych etapów rozwoju, pozwala winić pradziadów, że wiek dwa wieki wcześniej nie dokonali tego, co nam przypadło do zrobienia.

JERZY MAJKA

Autorką tego kostiumowego portretu, na którym widzicie Rzepinkę i mnie jest Jola Kazimierczak. Nieustający konkurs trwa! Nagrodą za „portret tygodnia" jest wydrukowanie go w 500.000 egzmplarzy. Rysujcie i przysyłajcie!

REDAGUJE
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Uffff... Nareszcie wróciłem z wakacji! Na moim redakcyjnym biurku zastałem kosz od bielizny pełen listów.

Przedstawiam Wam mojego nowego kolegę po fachu – red. Robaczka. Oto fragmenty jego listu:

Jestem redaktorem kącika humoru w gazetce S.U. Szkoły Ćwiczeń WSP nr 7 w Rzeszowie. Nasza gazetka nosi nazwę „PAPIRUS". Chciałbym z Twoich łamów, Rzepie, uśmiechnąć się najmilej jak umiem do wszystkich kolegów redaktorów „Papirusa", a także do pani Ślusarz – naszej opiekunki z ramienia szkoły.

Hej! Obydwie Ele, obie Beaty, Renato, oraz niezrównane modelki z działu „Mody młodej", pozdrawiam Was serdecznie!

Robaczek

PS. A to mój portret z piłką i w koszulce „Mundial 78"

* * *

TELEGRAM

Ach, Esmeraldo, chcę się przyśnić Jackowi i Zbyszkowi! Ilona.

Do zobaczenia! Wasz RZEP

Najładniejsza pocztówka z wakacji od Joli Kolbusz (obok). Dziękuję!

– Teraz możemy tam wejść...

SŁOWNIK WYRAZÓW TRUDNYCH

Od dziś ukazywać się będzie nowy „minikącik" – ilustrowany słownik wyrazów, których znaczenie nie jest zupełnie jasne dla niektórych Czytelników. Oto, na początek, rysunkowe wyjaśnienie znaczenia słowa

MALKONTENT

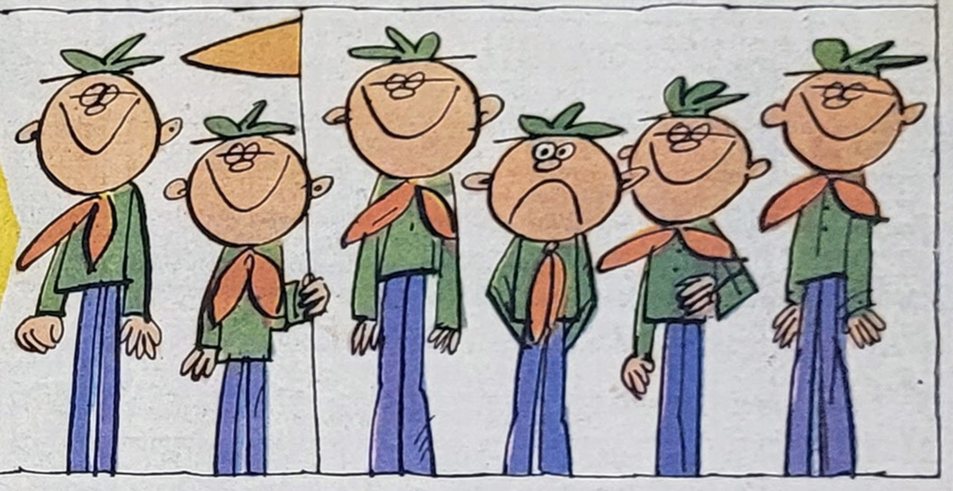

GEORYMY

- **Piłkę się kopie, jak wiecie, także w Tybecie.**
- **W Argentynie zakochałem się w Walentynie, a w Eli w Wenezueli.**
- **Opuszczając Hawaje łkaliśmy jak mazgaje.**
- **W ulu na Honolulu.**

Danka Nadaj

- **Sprzedam starocie znalezione w Sopocie.**
- **Lecą jaskółki do Sokółki.**
- **Wolę Teby od ameby.**

Teresa Pieles

- **Miej się na baczności, gdy jesteś w Pakości.**
- **Po Stalowej Woli chodzę mimo woli.**
- **Czy grają w ringo na San Domingo?**
- **W Waszyngtonie pływa mrówka na pontonie.**

Marek Rodzeń

Przed niespełna półtora godziną, w nieznanym mi kierunku odpłynął „Notos", zabierając na pokład także Joannę i pana Lejwodę. Ten ostatni, ubrany w elegancki biały garnitur, wszedł na jacht z wielką godnością, objuczony jakimiś mapami i teczką z notatkami. Pani Joanna patrzyła w niego z uwielbieniem, a on miał minę, jakby już był na tropie anonimowego poety.

„Akurat go znajdziecie. Myślicie, że to takie proste, jak w Warszawie na Marszałkowskiej zapytać o sklep z obuwiem" – myślałem ze złością, choć, dalipan, zależało mi przecież na tym, żeby trafili do domu poety. Tym bardziej, że polubiłem pana Lejwodę. Przed odpłynięciem odwiedził mnie na „Krasuli" i oświadczył, że w jego willi pozostaje pani Jagoda, i że mogę korzystać zarówno z kuchni, jak i łazienki, z telewizora i w ogóle ze wszystkich domowych udogodnień. Zaproponował mi także, abym swój wehikuł postawił do jego garażu, jako że ma garaż bardzo przestronny na dwa samochody. Odpowiedziałem mu grzecznie, że mój wehikuł przyzwyczajony jest do nocowania pod gołym niebem i byłem naprawdę rad, gdy odszedł, gdyż bałem się, że nie powstrzymam się, aby nie wyładować na nim miotającej mną złości.

Odpłynęli także piraci, bardzo niezadowoleni, że znowu odebrałem im „Rogera". Ale nie okazali tego.

– Pan jest miły facet, panie Samochodzik – oświadczyli mi na pożegnanie. – Dobrze pan nakładł Tarzanowi. A ta aktorka chyba się znajdzie, prawda?

– Tak, na pewno się znajdzie. Cała i zdrowa – mruknąłem. – A co do tego Tarzana, to nie ja jemu, tylko on mnie „nakładł", jak to wy określacie.

– To był bardzo piękny rejs – rzekł Jurek. – Szkoda, że musimy wracać do Iławy, aby zwrócić tę starą krypę. Przeżyliśmy trochę przygód jako piraci, potem pan nas schwytał, zobaczyliśmy jak robi się serial z cyklu „Święty" i poznaliśmy osobiście Simona Templera, który każdemu z nas dał autograf. Również i od pana Lejwody otrzymaliśmy książkę pod tytułem „Jak schwytać mordercę".

– A za cóż to on wam dał swoją książkę? – zdziwiłem się aż taką uprzejmością pisarza.

– Dowiedział się, że jesteśmy z Iławy. Zapytał, czy nie znamy jakichś bajek albo legend z tych okolic. Opowiedzieliśmy mu legendę o „Złotej rękawicy".

– O „Złotej rękawicy"?...

– Nie zna pan legendy o „Złotej rękawicy"? Jest bardzo krótka. Było to pod Grunwaldem, czy też w czasach późniejszych, w okresie rządów Kazimierza Jagiellończyka, który też walczył z Krzyżakami. Otóż wśród rycerzy krzyżackich znajdował się pewien zagranicznik, rycerz możnego rodu i bardzo dumny, jako że z pokolenia na pokolenie nosili na prawym ręku zrobioną ze złota rękawicę, którą rzucali przeciwnikowi, gdy chcieli go wyzwać na pojedynek. I rycerz ten rzucił złotą rękawicę jednemu z polskich wojowników. Podobno gdzieś w okolicach Iławy odbył się pojedynek. Polski rycerz pokonał butnego zagranicznika, Krzyżacy potem przegrali bitwę, a dumnego zagranicznika polscy rycerze pochowali z wielkimi honorami i z jego złotą rękawicą.

– A gdzie go pochowali? – zapytałem z bijącym sercem.

– Ba, tego nikt nie wie. Pewnie w jakimś kościele albo w grobowcu. Ale w czasie wojny wiele grobowców zniszczono. Byli tacy, co szukali tej rękawicy, ale nikt jej nie znalazł. My też próbowaliśmy ją odnaleźć. Może to tylko legenda?

– Może to tylko legenda – powtórzyłem.

Ale myślałem co innego. O słowach poety, który pisał:

„I znowu polski rycerz dumnie
podejmie złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie
gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę".

Nie, poeta ludowy nie kłamał. Nie była to tak zwana licentia poetica, którą posługują się wykształceni poeci. Autor wiersza „Złota rękawica" był prostym człowiekiem i pisał to, co czuł i co oglądał. On widział złotą rękawicę w blaszanej trumnie. Widział także rozbitą przyłbicę pokonanego rycerza. Ale gdzie ją widział?

– Dziękuję wam, chłopcy – uścisnąłem im ręce i tak rozstaliśmy się.

A ja, mimo że nareszcie usłyszałem historię złotej rękawicy, powróciłem na koję z poczuciem przegranej. Bo ileż to wysiłku włożyłem, aby dowiedzieć się czegoś o złotej rękawicy? Iluż ludzi pytałem o jej historię? O legendę lub baśń? O najdrobniejszą informację? A historia złotej rękawicy była tuż pod ręką, znali ją ci trzej chłopcy z Iławy. Ale zdarza się w pracy detektywa, że całymi tygodniami szuka wyjaśnienia jakiegoś faktu, gdy rozwiązanie znajduje się o krok.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch", w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę zę zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna
Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

Zam. 5041/G S-6

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-561

Strusia za niedźwiedzia

(Inf. wł.) Warszawski Ogród Zoologiczny bardzo często powiększa stan swojego posiadania (chodzi oczywiście o ilość gatunków zwierząt) drogą wymiany z innymi ogrodami zoologicznymi. I tak ostatnio za niedźwiedzie himalajskie i brunatne oraz jednego lamparta warszawskie ZOO otrzymało z ogrodu zoologicznego w miejscowości Kresting w RFN strusie afrykańskie oraz amerykańskie nandu. **(kż)**

— Pan widzi, że „Święty" bez żadnego powodu chce mnie znowu pobić. On mnie po prostu nienawidzi i zupełnie nie rozumiem dlaczego.

– Bo pan jest bezczelnym kłamcą – powiedziałem. – Niestety, nie potrafimy panu udowodnić udziału w porwaniu Diany Denver, gdyż nie zastaliśmy jej na „Lordzie Jimie". W tej sytuacji proszę od nas przyjąć przeprosiny za napad. Ewentualnie może pan złożyć na nas skargę w najbliższym posterunku Milicji Obywatelskiej. Na twarzy Tarzana pojawił się wyraz ogromnej dobroduszności.

– Ależ, ja wcale się na was nie gniewam, panowie. I nie zamierzam wnosić żadnych skarg. Doskonale rozumiem przyczynę waszego postępowania. Porwano panę D.D., jesteście tak tym faktem poruszeni, że potraciliście głowy i napadliście na niewinnego człowieka. A gdybym mógł się wam na coś przydać...

Udaliśmy, że nie usłyszeliśmy jego bezczelnej prowokacji. Porywacz, który proponował nam pomoc przy poszukiwaniach porwanej? Tego jeszcze nie było nawet w żadnym odcinku serialu „Święty".

W międzyczasie dobiła do „Lorda Jima" Bajeczka na „Krasuli", którą popychała krótkim wiosłem, jako że zrzuciła wszystkie żagle. Przeszliśmy z Templerem na „Krasulę", od burty „Lorda Jima" odbiła w milczeniu piracka omega, a także „Notos". Obydwa jachty skierowały się do Siemian.

– Wciągać żagle! – rozkazałem Templerowi i Bajeczce.

– Czy wciągnąć także bliźniaczego foka? – zapytała dziewczyna.

– Do licha z bliźniaczym fokiem. Po co on nam teraz? – burknąłem gniewnie. – Nie mamy się dokąd spieszyć.

I wolno popłynęliśmy w stronę domu pana Lejwody przeżywając poczucie klęski.

Gdy po jakimś czasie obejrzałem się za siebie, stwierdziłem, że Tarzanowi odechciało się żeglowania. Zrzucił żagiel i tylko na silniku płynął wolno naszym kursem. Było mi już jednak zupełnie obojętne dokąd się udaje, albowiem on już chyba wypełnił swoje zadanie. Dostarczył pannę D.D. z Karnit do miejsca, w którym przejął ją ktoś inny i zawiózł (może samochodem) do z góry wybranej kryjówki.

* * *

Bajeczka uchyliła drzwi kabiny i powiedziała do mnie:

– Niechże pan coś zje, na Boga. Poszłam do sklepu i półtorej godziny stałam w kolejce, żeby coś kupić na obiad. Potem przyrządziłam posiłek pożywny i chyba smaczny, a pan nie chce niczego tknąć. I co ja mam teraz zrobić z jedzeniem? Wyrzucić rybom?

– Wszystko mi jedno – mruknąłem.

– Sprawia mi pan kłopot...

– Przynajmniej nareszcie ma się pani o kogo kłopotać. Pani to podobno bardzo lubi.

– Och, niech pan nie będzie aż taki złośliwy – stwierdziła smutno i opuściła kabinę, gdzie od trzech godzin leżałem na koi i w bezsilnej złości, przewracałem się z boku na bok.

„Krasula" cumowała przy brzegu obok domu pana Lejwody. Wiatr i fale kołysały łagodnie jachtem, ale ja tkwiłem na materacu z oczami wlepionymi w niski sufit. Potem kryłem twarz w poduszce. Bolały mnie żebra na piersiach, w które mocno uderzył głową Tarzan. Lecz jeszcze bardziej nękała mnie zraniona duma. Czułem się wyprowadzony w pole, przeżyłem klęskę i to na oczach takiego człowieka jak „Święty".

Dokończenie na str. 7